



ASPIRACJE

ASPIRACJE

**MAGAZYN
LITERACKI
MŁODYCH**

NR 3 /38/

PAŹDZIERNIK 2005

TARNÓW

publikacja

GRUPY MŁODYCH AUTORÓW

Oddział dla Dzieci i Młodzieży MBP
ul. Staszica 6, tel. 621-34-54
was@biblioteka.tarman.pl

wybór i opracowanie wierszy

ZBIGNIEW MIROSLAWSKI

opracowanie graficzne

ANDRZEJ HENRYK TRYBULSKI

rysunek na okładce

MAGDALENA JADWIGA TRYBULSKA



WYDAWCA

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. Juliusza Słowackiego
33-100 Tarnów, ul. Krakowska 4
tel. 014/621-38-44 tel/fax 622-20-93
e-mail: mbp@biblioteka.tarman.pl
www.biblioteka.tarman.pl

* * *

*Czarny notes, biała myśl
Życie chwilą, życie błysk
My błyskamy, wybór mamy
Drogę dobra, drogę zła
ale tak jak błysk mijamy
A po błysku wieczny czas
Czas ten dzieli się na dwa
W prawo radość, w lewo płacz
Wtenczas wybór zgaśnie nam
Głos zabierze Wieczny Pan*

Tekst, którym rozpoczyna się kolejny, trzeci tegoroczny numer "Aspiracji" napisał Daniel, młody autor uczestniczący w tegorocznej edycji "Przystanku Woodstock" w Kostrzynie. Udostępnia go nam za pośrednictwem ks. Andrzeja Augustyna. Nim właśnie rozpoczął ks. Andrzej kazanie skierowane do młodych w tarnowskiej bazylice katedralnej, z okazji rozpoczynającego się nowego roku szkolnego.

Ks. Andrzej cytował także słowa papieża Benedykta XVI wypowiedziane podczas Światowego Dnia Młodzieży w Kolonii. "Podobnie jak Mędrcy wszyscy wierzący, a zwłaszcza młodzież, wezwani są do podejmowania drogi życia w poszukiwaniu prawdy, sprawiedliwości i miłości...". Są to wartości, o których piszą autorzy "Aspiracji", wcześniej "Kajetu..." od zawsze.

Głód na świecie, terroryzm, szczególnie w kontekście zamachów w Londynie w lipcu br. to niezwykle aktualne problemy współczesności. Równocześnie Londyn i Wenecja tego lata prezentują się jako ośrodki sztuki. Wenecja rozbrzmiewa m. in. muzyką: Marcellego, Gallupiego, Vivaldiego. Londyn pretenduje do roli stolicy aukcji współczesnego malarstwa, dzięki wystawom w Galerii Charles'a Saatchi'ego. Szerzej o tej ostatniej można przeczytać na stronach internetowych: www.obieg.pl/calendar2005/zm_lc.php oraz www.saatchi-gallery.co.uk. Tekstem o znaczeniu odkrycia właściwej drogi prezentuje się Darek Romanowski, piszący "...Prowadź mnie gwiazdo / Zarannej tęsknoty...". Jacek Tryba pisze z kolei o śmierci Jana Pawła II, jak o końcu naszych czasów "...i było niebo

połamane.../ Wschodziło słońce / bez promieni.”.

Publicznie spowiada się wierszem pt. “Spóźniony” słowami “nie zdążyłem przeproszać Zapaloną Ciszę.”.

Pozostali autorzy tego numeru to nasi stali współpracownicy, w dziedzinie poezji: Anna Mróz, Rafał Gienza, Mariusz Mitera, Andrzej Mleczko, Michał Piętniewicz, Robert Stańczyk, Bartosz Baran i debiutujące u nas: Joanna Bąk, Beata Belfer, Grzegorz Nowak i na razie anonimowy JRM Lorus.

W prozie Miłosz Onak opowiada o pracy i pobycie w Norwegii, Ela Balazy pisze o polskich nazwiskach w Chicago, ” Zbigniew Mirosławski kontynuuje powieść-dziennik “Dzień za dniem”, odcinek dziesiąty.

Wszystkim autorom i czytelnikom “Aspiracji” życząc wszelkiej pomyślności w nowym roku szkolnym i akademickim 2005/2006

Redaktor Kajetan-Cień

motto: *“Ktoś mi rozmiął na drobne cały mój nieboskłon.
Świadcami niechaj będą klucze dzikich gęsi,
które tylko przelotem znaczą swe istnienie...”*
Wiesław Stanisław Ciesielski

Zbigniew Mirosławski

* * *

*Bono w Londynie, Bjork w Tokio, i dziesiątki innych gwiazd
uświetniły 10 koncertów dobroczynnych, jakie odbyły się
w 8 krajach grupy G-8 oraz w Republice Południowej Afryki.
Globalny show pod nazwą “Live 8” zorganizował Bob Geldof.*

Ja, układający rytmy i słowa
stwierdzam -
dość już głodu w Polsce i w Afryce,
i wszędzie na świecie.
- koncert dla życia
nie ma swojej ceny.
Muzyka, jak arbiter elegantiarum
zawiera w sobie całą skalę dźwięków,
od pisku skrzypiec;
ostatniego tchnienia konania,
po gniewny tembr gitary,
jak serie z erkamów
- to nie sprawa reklamy.
Kiedy stoję w blasku kamer
gorących jak lipiec,
bezlitosnych jak skwar z nieba
na nasze głowy wylany,
w kilku słowach tłumaczę:
Edynburg, Filadelfia, Johannesburg,
Londyn, Tokio, Toronto
to stolice rozumiejące sens rozpacz!
My ludzie, “We People...”,
w każdym języku
to samo znaczy
na języku kęs chleba,
w ustach łyk wody.
Każdy kto ma szansę przeżycia,
kto może dać ją drugiemu,
ten już jest najbogatszy.

* * *

Od dwóch dni jestem w Polanicy,
jestem i nie jestem,
jeszcze niewiele wiem
o tym mieście.
Już dzisiaj w "Arabesce"
otworzyła się przede mną
tajemnica,
- za sprawą deszczu,
który zalewał przestrzeń
gwałtownym opadem.
Nagle, zawieszona koło baru książka
przykuła mój wzrok
swoim jasnym światłem.
- Andrzej Sulima Suryn
to nie miejscowy poeta
a jednak właściciel kawiarni
zna Jego znajomą.
Jego już nie ma.
Odpłynął, pożeglował
za cichą wodę rozstań.
Są słowa,
pełne bólu, pełne świadomości,
blasku, światła
i malarskich wizji:
Cezanne'a, Mondrian'a.
Dobrze, że przemawia do nas.
Ożywa na chwilę,
kiedy wzruszeni
fontanną tej przemowy
inaczej już patrzymy
na tutejszy Zdrój,
fale Bystrzycy Zielonej.
Nawet deszcz,
staje się nam bliższy
a na duszy jest lżej,
choć przygniata ją
bezsens śmierci
przypadkowych ludzi,

porozrywanych na strzępy
przez bomby terrorystów
w Londynie,
historia zabitej w wypadku dziewczyny
miejscowego masażysty,
los Andrzeja,
autora lirycznych wierszy.
Zostaje
światło pomiędzy nami -
długi pomost lśnienia.

Polanica Zdrój, 8 lipiec 2005 r.

* * *

Muzyka weneckich mostów
przenika prosto z toni
ciemnozielonych kanałów,
poprzez pasiaste pale
do których cumuje się łódzie
do świadomości człowieka.
Tak połączeni zostali:
Vivaldi i Albinoni,
Marcello i Gallupi.
Każdy z nich
poznał sekrety:
pałaców, placów, ogrodów,
od Scalzi marmurowego
do dworca Santa Lucia
i każda nutka dźwięczy
jak kandelabry z Murano,
a serce jak ptak trzepocze,
spłoszone słów zamieszaniem,
kiedy jak z wieży Babel
dobiega wrąg obca mowa.
Spod "Skrzydeł gołębic"
Henry James głowę wystawia
z okna Palazzo Barbaro.

I

Z mgły wyłania się plakat
i "Triumf malarstwa" ogłasza.
Na nim dwie zwykłe twarze,
to "Pasja" Marleny Dumas.
W omdlewającym gościu
jej głowa przechylona,
on za jej uchem schowany,
szepcze intymne słowa?
A może to Chrystus kona?
Kto Jego głowę podtrzyma?
Zza mostu westminsterskiego,
zza burej od deszczu Tamizy,
Charlesa Saatchi Galleria
woła nazwisk sekstetem.
Artyści to młodzi Niemcy
i jeden Polak z Tarnowa,
jak dziwnie wszyscy dobrani?
Jaka ich łączy droga?

II

Lokomotywa Skreber'a
łśni taśmą odbłaskową,
dwie inne jadą na siebie
po krzyżujących się torach.
Wzrok ponad centrum handlowym
szarym spojrzeniem omiata
pustkę postprzemysłową.
Dachy nie zatopione,
jak w Nowym Orleanie,
za to ulice i auta
pływają w farby powodzi.
Aż nazbyt aktualne,
zderzeniem swojej wymowy,
jakby pojazdów rozbitych
o słupy naszych emocji.

Katastrofy nienasze
wyolbrzymionym rozmiarem
nieznośnie fascynują!

III

Erupcje barw, fajerwerki,
map mentalnych mandale,
entourage Ackermanna
ponad blokami rozlany.
Estetyką graffiti
przyciąga i odpycha.

IV

Althoff cofa się głębiej,
w zakątki pruskiej duszy,
dryllem niepowstrzymane,
gwałcące resztki sumienia.

V

Oehlen nie jest Einsteinem,
pomimo wspólnego imienia.
Chaos i zagubienie
straszą w County Hall salach.
Skąd "Czarny racjonalizm"
w szkieletach koni zgubiony?
Ostatnia w życiu walka
nagimi kośćmi zastygła.
Łeb jak w szklanym połysku,
z rogiem, okiem i uchem,
i nadto byczym karkiem,
zwraca się do Picassa.
Sztorm dzikich ramion wyrasta
monstrualną hybrydą,
z latarnią nie dla blasku.

VI

Scheibitz w glorii kolorów,
naiwny i ludowy,
w cybernetycznych ramach
geometrii Cezanne'a?
Przesłonięty szczytami,
łódką wraca do domu?

VII

Za to „rozmowa z Sasnałem”
od nowa porządkuje.
Jakby wprost z fotografii:
robotnice przy taśmie,
sprawdzają twisty-słoiki.
Mężczyzna przy kontrolce,
jak znak „nieśmiertelnej” mocy,
trwa na swym posterunku
- ostatni Mohikanin.
Wygrywająca sportsmenka,
szara lady Rodchenko,
w stu odcieniach zmęczenia,
maskę śmierci przybiera.
Ekwipunek zabójcy
przemawia językiem zabitych.
Żołnierze w uniformach
nie myślą o wolności,
świadomie akceptują
konformistyczny chłód.
Ich połączone cienie
mroczniejsze są od nocy.
Horror zredukowany
i „Ręce uniesione”
paradoksalnie wyjaśnia
tło ciemne,
logo-negatyw.
Zwycięzca jak Wałęsa
wyłania się z podziemia,
bo pokonał obawy.

Aeroplany nad nami
nadciągają z odsieczą
dla Królestwa Albionu.
Ogień nieprzyjacielski
połyka chmur równina.
Pali się lecz nie niebo,
w ustach współczesnych kobiet:
Anki i Dominiki,
gwiazdy popu – Brzoskwinki,
papieros; zachwyt Warhola,
zwielokrotnionej Marylin.
Piękno zdegradowane
poprzez miejsce i czas.
Wschodniej Europy szyk.

VIII

Londyn zaczarowany
jedno przymyka oko,
dokąd odleć balony
zimnym wiatrem smagane?
Na jakich stacjach metra
wybuchnie sztuka immamów?

Wystawa sztuki współczesnej, Londyn, lipiec 2005.



AGNIESZKA MUSZYŃSKA

Agnieszka Muszyńska, absolwentka Wydziału Artystycznego UMCS w Lublinie. W czerwcu 2003 roku obroniła dyplom na specjalizacji grafika w pracowni technik metalowych pod kierunkiem prof. Zdzisława Niedźwiedzia oraz pracę magisterską pod kierunkiem dr Jerzego Żywickiego. Należy do Związku Polskich Artystów Plastyków.

21 maja 2003 roku odbyła się jej indywidualna wystawa Grafiki w Akademickim Centrum Kultury "Mała Scena" w Lublinie.

Dariusz Romanowski

„Prowadź albo pozwól błędzić”

A jeśli do Nieba
Znów zapomnę drogi
Prowadź mnie gwiazdo
Zarannej tęsknoty

Tam za horyzont
Gdzie Bogowie moi
Prowadź mnie gwiazdo
Zarannej tęsknoty

Nim sama zbledniesz
I staniesz się pyłem
Prowadź mnie gwiazdo
Zarannej tęsknoty

Aż po bezdroża
Czasu poza czasem
Prowadź mnie gwiazdo
Zarannej tęsknoty

A jeśli mamisz mnie
Tylko swym blaskiem
Stań się mgławicą
I pozwól wciąż błędzić

„Nie do końca pesymistyczny
acz nie nazbyt optymistyczny
plan na przyszłość”

Radykalne
Cięcia budżetowe
Nie jem
Nie piję
A chodzę
I żyję

„Miasto rodzime”

Nie roszczę sobie pretensji
Do bycia kimś istotnym
Dla losów tego miasta
Nie czuję żadnych więzi
Z ludźmi na ulicach
W kościołach w marketach
I w przybytkach kultury
Nie interesuje mnie zupełnie
Wzajemna adoracja lepkiego potu
Modlitw o każdej porze
Zakupów po promocyjnych cenach
Wymiany poglądów i doznań
Ne w tym mieście
W którym nawet pomniki
Wzajemnie wobec siebie obojętne

Jacek Tryba

„Trzeci kwietnia”

Wschodziło słońce
bez promieni...
Wschodziło słońce,
ja widziałem –
przestrzeń, lecz pustą
nad Warszawą.

O jedno serce świat zubożał.
O jedno wielkie S najdroższe.

Wschodziło słońce
bez promieni...

Kroplami rosy ból ścierałem,
powietrzem tarłem łzawe oczy,
a umysł zamilkł na rozdrożu.

Dźwięk każdy obco brzmiał mi w uszach.
Był piach wgniatany mocno w ziemię.
Co jeszcze mogłem – nie pamiętam.
Co jeszcze chciałem – tego nie wiem.

I było niebo połamane...

Wschodziło słońce
bez promieni....

„Spóźniony”

Nie zdążyłem
przepraszam
wszystkiego się nie da...

z obiecanych słów
tylko wiatr – ten co
biednym w oczy

stara miłość
wyparła się uczuć
stara miłość
nie urodzi dzieci

znam już smak
zakazany owoc
toczy się po ziemi

nie zdążyłem
przepraszam
Zapalona Ciszo

18.07.2005

„Słabej wiary”

Słabej wiary
nie chodzą po wodzie
żadna góra im nie będzie posłuszna

słabej wiary
nie nadstawiają drugiego policzka
ani zwłaszcza szaty nie dadzą

słabej wiary
dom zbudują na piasku
w owczej skórze jak wilki zawyją
pozostawią człowieka na drodze

słabej wiary
może ręce jak Piłat umyją
zanim zaczną do Drzwi się dobijać

Anna Mróz

Z cyklu: „W strugach wiatru”

* * *

Bursztyn słońca przenika
leśną zieleń
wiatr błdzi pośród drzew
oszukując czas
zaś wieczność
staje się oddechem
tu i teraz

* * *

W morskim poszyciu gwiazd
samotnie moknę w strugach wiatru
Patrzę z zamkniętymi oczami
i widzę z daleka księżyc,
który huśta się jak dziecko
a mnie pozostało już tylko odejść...

1. W ciszy serca
przyglądam się dalekim gwiazdom
słucham szeptu drzew,
gdzieś poza zasięgiem wzroku
kończą się marzenia
a zaczyna sen
więc
Otaczam się obrazami
do których staram się pasować,
a każde twoje odejście jest pustką
którą nikt już nie potrafi
wypełnić

2.

W pokruszonych dłoniach
ostatkiem sił trzymam
żagle nocy,
okrywam się ciemnością by
odważnie kiedyś stanąć
z przeszłością twarzą w twarz
by móc potrafić zacząć od początku
już bez łez

* * *

Kiedy zapada zmrok
z utęsknieniem jak latarnia
wypatruje ciebie,
niestrudzenie wsłuchuje się
w echo twoich niewypowiedzianych
słów
czekam
i
ginę

* * *

Zamykam oczy
i śni mi się wieczność
w kolorach nasyconych marzeniami
przeszłość i przyszłość nie istnieją
liczy się tylko tu i teraz
kiedy w twe dłonie wplatam swoje jak warkocz
kiedy topie się w kolorze twoich oczu
i czuje ich bezkres

Z cyklu „W muzyce bursztynowego echa”

* * *

Jeśli kiedyś poczujesz jak
wiatr otula Cię swym nocnym ciepłem
ja już będę tą gwiazdą
oczekująca wiecznego wykruszenia

Rafał Giemza

* * *

Płynąć w oceanie życia
każdy dzień
rozpocząć bez strachu
chwytając podmuchy szczęścia
promienie słońca
powiew wiatru
przyjazny dźwięk

wszelkie ulotne chwile
przemienić w radość

oto jest cel
mojej podróży

* * *

Me myśli płyną
po sklepieniu nieba
niczym obłoki
przemierzają świat

jak poszukiwacz skarbów
błądzą
odnajduję i tracę

niezdolne
ominać przemijania wszystkiego

* * *

Zbyt gorliwe słońce
wypełnia całą przestrzeń

Brama lasu otwiera się
wabiąc zapachem zieleni
liście drzew obiecują ochronę

Pragnienie ogarnia ciało
oczekujące zjednoczenia

Mariusz Mitera

* * *

w brązowe włosy ma wplecioną tęczę,
oczy lśnią, ozdobiła je szklanymi kroplami,
lubi deszcz, roztańczona pozwala,
by pieścił ją zimnymi palcami z chmur.

* * *

proszę, nie odchodź,
czujesz? smutek?
to początek,
życie nabiera barw
z upływem chwil,
ta sama, ale inna
-wskazówka zegara
popycha cię do przodu.

* * *

płynna purpura ożywia tętnice,
pulsując radośnie pod skórą,
twoje naście lat przemyka tak prędko,
pozostawia swoje ślady na kliszy i w pamięci,
póki co czas nie da ci rady.

* * *

lśnienie małych rzeczy,
słodczych chwil,
zwykli ludzie,
nikt nie zaprzeczy,
cisza brzmi jak kryształ,
nie słysząc nic,
nawet naszych kroków,
kiedy spacerujemy razem po łące.

Andrzej Mleczko

„Westchnienie 2”

I znów
Mechanicznie wstaję, ubieram się, żegnam, wychodzę
Gdy zamkną się drzwi i przebrzmi pocałunek
Padam na kolana i zaciskam ręce
Czy tego wspólnego czasu nie może odmierzać inna klepsydra?
Mam 30 lat, wzrostu 176 cm, zdrowy na ile to możliwe
A nie mam sił by powstrzymać małe ziarenko piasku
Wyrzynające w sercu zniechęcone cyfry godziny odjazdu
Gdy wstanę, zakołyszę się niczym wisielec, któremu kroki poddaje wiatr
A partnerką jest mu wrona
Może wydziobie mi oczy bym nie odnalazł drogi
I został z Tobą

Michał Piętniewicz

„Rywalizacja”

Każdy skończy tak samo
wszystko marność
jak mawiał Kohelet
ale ten bieg
który jednym odbiera odwagę
a drugim daje nadzieję o twarzy wiatru
wart jest uważnego spojrzenia
powiedział chłopczyk
mały genialny cherubinek
śledzący w pierwszym rzędzie
zmagania sportowców.

„Powrót do swoich”

Spotkałem swoich kumpli
chłopca i dziewczynę
kiedyś braliśmy udział w wojennej wyprawie
walczyliśmy przeciwko państwu demonów
zwyciężyliśmy ale nie powróciliśmy w glorii
wstyd było się pokazywać na ulicach w obawie że
zostaniemy rozpoznani
Teraz
po latach
możemy usiąść pod parasolką na rynku i wspominać
dawne czasy
jacy to z nas byli dzielni wojownicy
jak demony poddały się nam
możemy łączyć się w pary i płodzić dzieci
bez żadnego strachu że spłodzimy demona.

„Jesień zaczyna się w Krakowie”

Smutki spadają z drzew
Wawel jest chłodny
pieski dreptają po Plantach i kaszlą
gołębiom na rynku mokną skrzydła
drogę z rynku do domu znaczą śladami błota
już teraz boli mnie kręgosłup października
w mojej krwi nie mieszka już ogień
mokre jesienne liście nie chcą się palić.

„Asceza”

Nie bądź dosłowny barbarzyńco
gdy przychodzisz do ogrodu
nie nazywaj owoców po imieniu
bo nazwy ich są tajemne
na ścieżce zwracaj uwagę tylko na kamienie
niech cię nie ciekawią leśne fauny ani centaury
powołany jesteś by dać świadectwo milczeniu
zatem módl się.

JMR Lorius

„Zesłańcom”

Głowa o głowę wsparta
Znużone trudem dnia mozolnego

A przecież myśli przychodzą,
Obrazy dnia słonecznego
Pachnące maciejką, łopianem
I jeszcze te słoneczniki
oparte o płot rozchwiany
I zapach chleba.

To tylko sen,
Sen wygnańca z tęsknoty umierającego.

Jego droga ma jeden kierunek
Nadany wyrokiem sądu bezapelacyjnego.

„Ulga”

Myśli uporczywe
Jak lęk przed świtem
Zmagają się z jaźnią
Zamknięte walą pustymi słowami
Opasują brzemieniem trwogi
Ból strach
Ruch nagły
I otwarte okno spokoju
Jest cisza
Nareszcie.

„Świt”

Stukot za oknem pędzącego pociągu
I szarość pokoju w obcym mieście
Bez ciebie a na dłoniach poranne krople wspomnień.

Stół, gazeta, zegarek, kawa
Fotografia
A na niej ten sam zapach twoich włosów
Twarz zapamiętana kiedyś, powraca z blaskiem wstającego
słońca.

Tamte chwile, słowa, gesty
Dalekie lecz bliskie.

Żyję nadzieją spełnionych w przyszłości marzeń
Wspomnienia na policzku, ustach
Pocałunek pożegnania
I czekanie czy nastąpi świtem Już tu czy tam.

„Meandry doznań”

Pragnienie
Przychodzi z dotykem oczu
Drży niepokojem myśli
Ciszy zamyka usta słowami złudnymi
W ciszy rodzi pożądanie

Ono przychodzi z dotykem tęsknoty
Drży niespokojnie
Ciszę otwiera kluczem łagodności
W ciszy rodzi spełnienie

Przychodzi z dotykem marzeń
drży niespokojnie
Ciszy pozwala wejść z blasku w cień
W ciszy rodzi istnienie
To wszystko jest ciszą
I ciszą trwa.

„Odwiedziny”

Zasiedziałem się u Ciebie...jak dawniej
północ stała się przeszłością odległą
martwą niczym zdjęcie w ramach na ścianie
w zgiełku nocnych myśli
w kręgi niedostępne wkraczam
pielęgnowanym wspomnieniem
pragnieniem rozmowy silniejszym niż sen

nie wiem gdzie jesteś

słowa wbijają się w tarcze ciemności
w pustce odbijają się echem
nieprzekupny mrok
kształtów znajomych już nie serwuje –
pozostaję sam we własnym piekle –
zasiedziałem się u Ciebie...bez Ciebie

„Modlitwy wieczorne”

Zanim odnajdą siebie nawzajem,
pośród odległych, płasających ogników
i nim ogniwa połączą bezsilności ciężarem
w łańcuch, co dźwięk czysty utrzyma przy życiu,
kluczac na orbicie płomiennym latawcem
zaleją purpurą perlisty znak nocy,
przemierzają, wzlatując wiarą skrzydlatą,
nieskończone pola mrocznej świadomości

Zanim przebiją bezkresu tarczę
i znajdą się poza materii granicą,
zanim staną się, ciemnej nocy ptakiem,
co niemym wołaniem rozprawia się z ciszą,
opuszczając kryjówki bezpieczne,
zaciągną szeptem na ustach śmiertelników
nadzieję, co wzrasta z mocy przedwiecznej
i ufnością, która błogosławi każdą chwilę bytu

„Nadzieja”

Ubrana w sny codzienności
Włosy splecione ma wstążką wspomnień
Dotyka mych ust pocałunkiem szczęścia
Jej delikatne dłonie, jak muśnięcie motyla, dotykają me powieki
Stworzona z najpiękniejszej bajki uczuć
Serce jej rozgrzewa me zmysły
Jest jak kropla deszczu
Szybko wysycha a z nią wspomnienia
Słowa jej tak czułe, że zabijają moje cierpienie
Wybranka mojego życia
Ona

„Nadzieja 2”

Te wspomnienia
Te wspomnienia duszą mnie
Jak jadowity wąż, jak zły sen
Te wspomnienia budzą cierpienie
Wracają do mojego życia jak cień
Kręcą się wokół uczuć
I budzą zaspą tęsknotę
Te wspomnienia są tak wielkie jak Nadzieja
Zostają w moim sercu na zawsze
I tylko ulotna chwila pozwala na chwilę zapomnieć o nich
Wymazać je z mego życiorysu
Cisza pomaga tym wspomnieniom
Ulotnić się jak szary dym, który kręci się wokół marzeń
I ginie, gdzieś w otchłani

Dotykam nieba”

Dotykam nieba
Wyciągniętymi dłońmi wspomnień
Czuję ciepło spełnionych marzeń
Które kiedyś były ciszą cienia mej tęskniącej nadziei
Dotykam nieba
Tuląc się do kolorowej gwiazdy
Niekończącej się tęczy miłości
Dotykam nieba
I wybieram się ze swoim pegazem w podróż do raju
Takie małe marzenie
Dotykam nieba
I jestem pewniejszy co do jutrzejszego dnia

Joanna Bąk

„Poeci”

Poeci
Nie rodzą się
Tak po prostu.
Oni powstają
Z Adamowego zebra
I uśmiechu Ewy.

Będąc
Pyłkiem podniebnym
Obserwują
Pierwszy grzech
I upadek.

Przekładając
Kolejne karty
Historii istnienia
Zapominają czasem
Że po upadku
Zawsze jest
Powstanie.

Beata Belter

„Rodzicom – w rocznicę ślubu”

Rodzinny dom
czasami mieści się w kropli łzy,
budząc wspomnienia radości lub smutku,
pierwszych urodzin, zabawek, spotkań.

Bywa, że pachnie jak jajecznica,
potem roznosi zapach świeżego ciasta.
Woła, przytula lub uspokaja,
kołyszac do snu od lat znajomymi szelestami.

Mieści się w ramce na fotografię
lub mieszka głęboko na dnie serca.
Jest w każdej kieszeni podróżnego płaszcza,
a gości wita w tygrysich kapciach.

Wstrzymuje czas – na chwilę lub na zawsze.
Prosi na brydża, piknik czy kawę.
Bywa lekarstwem na troski życia,
Rozdaje prezenty, uśmiechy, miłość.

Grzegorz Nowak

* * *

Smutna twarz mima
taką rolę przypisał mi los
Usłyszałem dziecięcy śmiech
dobiegający z pokoju obok
Czysty, pełen ufności, otwartości serca
Dźwięczny jak gdyby ktoś
zatrząsł całym niebem
a posłuszne gwiazdy
zagrały niczym miliardy dzwoneczków
Los pękł

* * *

bóg wyrafinowanej
myśli ludzkiej
w którego nie wierzę
Wyrafinowany
I jakże subtelny
bóg
i jego twórca
-człowiek
w którego
sercem całym
wątpię
Dystyngowany ascetyzm
„ja” dla „ja” się modłę
pobożny pokaz mody
w to wierzę
bo chce
że to puste jest
W jednym
Pokładam ufność
W Twoich chryzalitowych oczach



Motto:
„Zakochany w Wenecji, lubię czytać co inni mają o niej
do powiedzenia (czy do wyznania)..”
Gustaw Herling-Grudziński, Dziennik pisany nocą,
Neapol, 7 września 1992 r.

Egil Bjornsson /Miłosz Onak/

„Los przestawny – zapiski”

Pewnego dnia już wiedziałem, albo tylko wydawało mi się. Zresztą podobno przeważnie się wydaje – myślę to nie znaczy już, że jestem. Boże, przecież to grafomania, popełniam ją tutaj na kartkach papieru trwając w tych liniijkach. Mógłbym przecież inne robić rzeczy - różne - i gorsze i lepsze.

Kari też się mnie pyta, zawsze kiedy się przy niej kładę, jak mi idzie. Rozmawiamy wtedy długo o naszych dniach – jej w redakcji Ålesund Nyheter i moim tutaj. Tak, to ona pracuje, a ja obiady gotuje. Chociaż nie jestem przecież nierobem, przez ostatnie pół roku gotowałem dla turystów przy nadbrzeżu portowym w Hotel Noreg i pracowałem dorywczo jako pomocnik kapitana na holowniku „Harald”. Nawet teraz wykonuje stolarkę do domu Anji Haugen.

Rozpisałem się.

W każdym razie kiedy tak rozmawiamy z Kari przed snem o tym co nam się przytrafiło w dany dzień, ja staram się milczeć o moich zamiarach pisarskich. Raczej na temat schodzę stolarski, że oto dziś skończyłem te krzesła do jadalni, więc można już oznajmić Anji termin odbioru - obie pracują w tej samej redakcji. Na co Kari uśmiecha się, bo przecież była dziś u mnie w warsztacie i znów usmarowałem jej policzek lakierem do drewna.

Jeżeli kiedykolwiek mam ja pisarzem zostać to lokalnym chyba. W końcu nie mierze też do Nobla. Tak więc ja, kucharczy stolarz imający się sezonowych prac na holownikach próbę pisarską podejmuje. Podobno trzeba wciąż się doskonalić pisząc nawet bzdety, owe bzdety bowiem przybliżają cię do czasu, kiedy gotów jesteś napisać tę oczekiwaną pierwszą powieść. Oczekiwaną przez ciebie samego. Nie jest łatwą rzeczą nawet bzdetów takich rozpoczynanie, nie wspominając o właściwej powieści. Jak już na

samym początku wspomniałem – myślę nie znaczy, że jestem. Na tych stronach więc, podejmuje próbę sprawdzenia siebie samego.

Wiesz. – Zapytałem kiedyś Kari – *Czy wyobrażałaś sobie, że ja mógłbym się urodzić całkiem gdzie indziej, a ty tutaj, że moglibyśmy się nigdy nie spotkać nad kanałem Brosundet?* Siedzieliśmy wtedy w kuchni, był mroźny poranek 4 lutego, a ona objęła mnie i powiedziała, że na pewno albo ja, albo ona – którekolwiek z nas odnalazłoby drugie. Kiedy wyszła już do pracy, ja jeszcze chwilę siedziałem w naszej kuchni i ta myśl mnie coraz mocniej doświadczała. Jednocześnie byłem pod tym błękitnym mroźnym niebem człowiekiem najszcześliwszym, że „jestem na swoim miejscu”.

Wyobraż sobie.

Ślepy los rzuca cię w całkiem miejsce inne niż powinien, w końcu sieci ludzkich losów jest tak wiele, że może pomylić się, splątać któraś nić, skiklać – Znasz to słowo? To się zdarza w całym wszechświecie i nawet w małej maszynie trybik przeskakuje o dwa, miast o jeden. Przytrafia się to słowom w zdaniach. Szyk przestawny niekoniecznie celowy zdarza się początkującym w nauce języka. Nawet w momencie, kiedy jest celowy, to jest grymasem, zamiarem wypowiadającego bądź piszącego. Dlaczego więc los miałby być nieomylny, nie ulegać pokusie grymasów?

Rzucony w inne miejsce lub czas, powoli odkrywasz swoje prawdziwe mapy przeznaczenia i chcesz – usiłujesz naprawić to co los popsuł, przemienił. Wyobraż sobie.

Zszedłem popracować do warsztatu, chciałem deski te jeszcze oheblować przed południem. Później pójde po Kari do pracy i wybierzemy się do restauracji na obiad – dziś specjalna okazja.

Zabrałem się za deski, ale myśl o uwięzieniu w innych realiach nie dawała mi spokoju i zacząłem się zastanawiać co byłoby gdybym urodził się, powiedzmy gdzieś na południu. Pomyśl. Jesteś obywatelem któregoś z krajów europejskiego, masz dom, rodzinę, żadnych tam zbędnych luksusów. Przeciętne życie – wiadomo czasami gorzej, czasami lepiej, ale w porządku. Pewnego dnia jesteś nagle rzucony powiedzmy w sam środek Republiki Konga, naturalnie przyzwyczajony do innego życia masz problemy z przestawieniem się, w końcu to się udaje, lecz mimo wszystko cierpisz. Ma się rozumieć, wiem że to dosyć skrajny przykład, jednakże wyraziście obrazuje, a o to mi chodziło.

Zastanawiałem się jakby to było, gdybym nie urodził się tutaj w Norwegii, tylko los przypadkiem porzuciłby mnie gdzieś na południu Europy. Od razu dokucza mi myśl, że mógłbym nie poznać Kari, pomyśleć że przez kaprys-błąd losu nigdy nie znalazłbym szczęścia, które mam w jej osobie. Chyba, że Kari ma rację mówiąc o tym, że odnaleźlibyśmy się mimo wszystko. Inna rzecz to przyjaciele i bliscy. Pewnie byliby inni, chociaż trudno mi sobie wyobrazić lepszych jak Leif, Magnus i Solveig. Zresztą kiedy przeprowadzałem się tutaj z Leksvik przeszło pięćset kilometrów, to zostawiałem tamtejszych przyjaciół z myślą, że lepszych nie odnajdę. To wygląda tak zawsze, to droga. Idąc nie możemy stwierdzić, że nie zobaczymy już nigdy czegoś piękniejszego co właśnie mijamy, bo sami nie wiemy, co znajduje się za rogiem. Tego się chyba nauczyłem.

Wracając.

W takim razie, mieszkam gdzie indziej mam innych przyjaciół, ale.. no właśnie, ale. Pojawia się to coś co jednak nie pasuje wewnątrz. Akceptacja jest, bo człowiek zawsze się przystosuje, lecz to tylko szyld-atrapa. Pewnie że niektórzy mają jakieś swoje mityczne miejsca do których dążą, lecz to nie to. Stan, który opisuje jest rodzajem uczucia innego. Myślisz sobie - co za świr. Ludzie nie tolerują odszczepieńców – wiem.

Swoją drogą, to jestem w warsztacie oporządam deski i buduje model postaci swojej w zupełnie innych realiach. Wręcz wypada się uśmiechnąć do wystającego sęka, którego usiłuje zestrugać. W tym momencie do mojego warsztatu wpadł mały Ole Ragnar, dzieciak z sąsiedztwa. No tak, w zeszłym tygodniu obiecałem mu, że jak tylko wystarczający mróz będzie, to zrobimy ślizgawkę. Mały doskonale wie kiedy wpaść, dzieciaki mają ten zmysł. W zeszłym miesiącu obiecałem mu sanki, więc Ole codziennie zjawiał się przed moim warsztatem, przede mną. W takim obrocie spraw blat kuchenny Anji Haugen musiał poczekać. Również i teraz bez słów odłożyłem narzędzia.

Nasza ulica kończy się parkowym wzgórzem. To park Fjellstua. Ole Ragnar wybrał sam to miejsce i twierdzi, że jest ono najlepsze. Skoro tak uważa, to pewnie tak jest. Idę więc z dwoma wiaderkami wody naszą ulicą, mały też ciągnie jedno na swoich sankach. Sąsiad się mnie pyta ironicznie – gdzie to się pali? Odpowiadam głupim uśmiechem.

Na placu św. Olava jest nasza ulubiona restauracja,

popołudniem wybraliśmy się tam z Kari. Ta specjalna okazja to mijające cztery zimy, jakie spędziliśmy w Ålesund mieszkając razem. Kari urodziła się tutaj, ja natomiast przyjechałem ze wspomnianego już Leksvik. Tego popołudnia trochę z Kari wspominaliśmy i znowu naszły mnie myśli o małym trybiku, który przeskakuje o dwa, przez co niektóre zdarzenia nie mają nigdy miejsca. Wracaliśmy i padał gęsty śnieg.

Wieczorem pod piórem każde słowo czułem, mimo to nadal miałem wrażenie pisania „radosnych bzdetów”. Dodam, bzdetów dla mnie ważnych. Gdzieś głęboko we mnie zalegały te uczucia, pewnie stąd je znałem. Chociaż z drugiej strony byłem pewien, że nie mógłbym znajdować się gdziekolwiek indziej. Tylko tutaj, gdzie za ścianą w pokoju jest moja Kari. Tylko tutaj, w moim mieście, w Norwegii.

Kari powiedziała, że jesteśmy skorupkami orzechów rozrzuconymi po oceanie, które poszukują siebie same, przez całe życie. To ważne pomyślałem. Znasz tylko połowę samego siebie, drugiej poszukujesz, wiesz to ten życiowy cel. Kiedy znajdujesz, czujesz się spełniony. Chyba od tematu odpadłem nieco. Cóż zdarza się.

Rano wstałem pierwszy. Na początku myślałem, że nawet pierwszy w Ålesund. Wbrew pozorom, nie było jakoś diabelnie wcześniej. Zresztą. Zimą tu w środkowej Norwegii mamy problemy ze słońcem, późno się mu wstaje i wcześniej schodzi pod horyzont, a im dalej na północ tym dni zanikają całkowicie. No, ale mówiłem o mojej pobudce, otóż pierwszy w mieście się nie obudziłem, a wstawać kiedy za oknem ciemnia, po prostu nie lubię.

Za jakieś pół godziny Anja Haugen ma przyjechać po swoje gotowe krzesła i nie wiem czy jej się spodobają, mam tremę. Nie spodobają się jej to nie zamówi kredensu. Cały w tych nerwach niepewności zrobiłem śniadanie i zaniósłem do sypialni kartkę: „*Kari, w kuchni gotowe śniadanie – możesz dospać 20min, Anja pewnie nie zamówi kredensu, a ja skończę jako stolarz nieudacznik.*”

Zaparzyłem sobie zieloną herbatę i zszedłem do warsztatu, usiadłem naprzeciw wejściowych drzwi i patrząc w nie, czekałem. Czekałem, aż w nich stanie Anja Freya Haugen i zobaczy mnie mój warsztat, moje narzędzia i swoje nowe krzesła. Z tym, że narzędzia, warsztat i mnie nie po raz pierwszy. Tak, zgadzę się,

zrobiłem już dla niej blat, ale blat to nie krzesła. Zgodzisz się ze mną. Cztery krzesła.

Tak więc, Anja zapakowała na samochód swoje krzesła do jadalni, a ja dostałem zamówienie na duży kredens w starym ludowym stylu. Przesadzałem z tą treścią. Tak. Teraz oprócz desek strugam jeszcze waśniaka.

Wczesny ranek niepostrzeżenie, jak to zwykle on, przeistoczył się w południe. Dłubałem trochę w warsztacie i wróciłem do swoich rozważań o duszach porzuconych w obcych im miejscach. W chwili obecnej zastanawiałem się czy możliwe jest „naprawienie losu”. Jako urodzony gdzieś na południu pewnego dnia podejmuję się wyjazdu-powrotu do Norwegii. Czy można jak wykolejony wagon, powrócić na swój właściwy tor? Ja odpowiadam sobie – nie zawsze. Robiłem kiedyś zdjęcia. To jest mniej więcej tak, masz kadr, ale nie każdy kadr czyni zdjęcie dobrym-pięknym. Oczywiście muszą być okoliczności, musi być światło. Nigdy nie zaaranżujesz dokładnie sytuacji w kadrze tak, jak wystąpiła, bądź wystąpiłaby ona naturalnie. Nie przeczę, że zdjęcie może wyjść dobrze-pięknie, ale – nie będzie tak zawsze. Podobnie widzę sytuację z moim powrotem na północ. Nie oznacza to, że nie podejmuję próby.

Rzecz ma się tak, jak z pisaniem moim. Każdy znak, każda odwrócona kartka to kolejna próba i testowanie cierpliwości Kari do mojego siedzenia po Nocach. Podejrzewam, że z tego i tak nic, nie mówiąc o chlebie, nie będzie. Proste rzewne historyjki nikogo nie ruszają, nie obchodzą. Zresztą trudno się dziwić, skoro jest ich tysiące, ale ja będę się starał ją kontynuować, nawet dla jednej czy dwóch osób we wszechświecie. Ku rozpaczcy zresztą, wielu znawców literatury.

Popołudniem byłem w tartaku, po sporą partię desek. Musiałem pojechać do Sjøholt, gdzie bracia Iversen mają najlepszy skład drewna w okolicy. Sprowadzają nawet sosnę ze Szwecji, której wycinka objęta limitami jest. Nie miałem później nastroju do pisania.

Rano wstałem razem z Kari, chociaż nigdzie się nie śpieszyłem. Prozaiczna sprawa, ale miałem ochotę rano przejść się nad kanał Brosundet. Może złapię kilka ciekawych myśli, może pomysłów, albo tylko na przepływające promy popatrzę.

Odprowadziłem Kari do redakcji i poszedłem przy okazji

odwiedzić starego dobrego kapitana Sigurda u którego pracowałem na statku. „Harald” stał w porcie, a to oznaczało, że miałem szczęście, kapitan Sigurd jest w urzędzie portowym. Tam też go odnalazłem. Przy okazji rozmowy naszej wyszło, że kapitan ma w domu stary kredens, który mógłby mnie zainteresować, a został wykonany jeszcze przez jego pradziadka. Bez problemu mogę go zmierzyć i sfotografować.

Jeszcze przed południem, uprzednio zabierając z domu aparat i szkiecownik, znalazłem się na pokładzie holownika „Harald” zmierzającego na niedaleką wyspę Giske. To właśnie na niej mieszkał kapitan Sigurd, a że urząd portowy miał tam pewną robotę do wykonania, kapitan zabrał mnie ze sobą na pokład. W przeciągu dwóch godzin dokonałem dokładnych oględzin posiłkowanych szkicami elementów zdobniczych i zdjęciami, plus wykaz zestawień wymiarowych. Wykonać chciałem w miarę wierną replikę tego kredensu, z ewentualnym uwzględnieniem własnych pomysłów.

Byłem zadowolony z tego etapu prac przygotowawczych.

Do Ålesund wracałem małym kutrem rybackim, który kołysał się na falach zimowego morza. Wierzchołki okolicznych wysp Valderøya i Godøya tonęły w chmurach dotykających brzuchami prawie tafli morskiej toni. To uczucie, jak gdyby płynęło się łodzią gdzieś w zaświaty, pamiętam je z pracy na holowniku, kiedy wy pływaliśmy dalej w morze. Miało się wtedy odczucie podróży do Valhalli lub Avalonu. Teraz stałem wsparty o burtę i myślałem o tej mgie, w którą wpływa się, by wypłynąć z niej już kimś innym i gdzieś indziej. Myśl o losie przestawnym, bo tak nazwałem zjawisko kaprysu–omyłki losu, wciąż jeszcze mnie trapiła, ale z coraz mniejszym w nią zaangażowaniem.

Dotarłem.

Wieczorem, kiedy razem z Kari wywoływaliśmy zdjęcia, do warsztatu wpadł mały Ole Ragnar. Czasami się zastanawiam, czy nie jest on szczęśliwym posiadaczem, jakiegoś radaru, który oznajmia mu, że w warsztacie dzieją się ciekawe rzeczy. Prawie natychmiast, jak tylko dowiedział się o zdjęciach, najbardziej na świecie chciał zobaczyć jak się je wywołuje. Na nic tłumaczenia, że robi się to po ciemku. Ole w tym momencie chciał już zostać fotografem. Niestety aparatu nie mogłem mu wystrugać. Najwidoczniej ślizgawka i sanki już mu spowszedniały. Jego zapał ostudziła trochę Kari proponując kubek gorącej czekolady. Ja

zostałem w ciemni i zabrałem się za wykonywanie odbitek.

Za jakiś czas Ole i Kari znów zjawili się w warsztacie, okazało się, że wszyscy w trójkę mamy wybrać się do parku na sanki. Moje przeczucia odnośnie Olego Ragnara, jego sanek i ślizgawki, nawiasem mówiąc ślizgawki zużytej prawie do gołej ziemi, okazały się błędne. Mały bawił się jak szalony. Później, kiedy Ole wybawiony za wszystkie czasy, dawno już spał w swoim domu, razem z Kari siedzieliśmy w kuchni. Siedzieliśmy snując rozmowę przerywaną zachwyta miłczenia. Opowiadałem o mojej „wyprawie po kredens” i znowu się śmiała, bo już jej o tym mówiłem, a ona teraz pytała o „moje pisanie”. Śmiałyśmy się. Powiedziała też, że zastanawiała się nad moim pytaniem o „przestawność” losu i gdyby znalazła się w takiej sytuacji, usiłowałaby to naprawić i dotrzeć do miejsca w które nawoływała ją dusza. A więc jednak. Ja też podjąłbym taką próbę. Może kiedyś ta teoria zyska rozgłos i będę miał pieniądze na wydanie tych przerażających linijek z dziedziny literatury stu i jednej myśli. Żartuje.

Nie chciałem, aby Kari „odkryła” przed końcem, że piszę akurat o pozostawaniu u innej rzeczywistości, dlatego usiłowałem rozmowę kierować niepostrzeżenie na inny tor. Nie lubię tego robić, ale ona i tak zapewne już dawno zorientowała się o czym będzie opowiadanie. Tej Nocy rozmawialiśmy też o przyszłości, czyli o tym co dzisiaj, tylko w jutrzejszym wydaniu, o tym że za dwa dni weekend i Einar Johan Hamsun zaprasza nas na małą uroczystość do pubu Posthjørnet, o ciepłe naszych dłoni. W końcu o najmniejszych radościach dnia skrywanych pod powiekami. Potem, kiedy usiadłem do pisania, mogłem o radości słów składania, o uśmiechu Kari, minie Olego Ragnara, niebie nad Ålesund, zdań tysiące nakreślić. Tylko znów, czy nie popadam w autobiografię, lub biografie-kronikę tego miasta?

Odłożyłem pióro i przez warsztat wyszedłem z domu. Wdrapałem się na parkowe wzgórze Fjellstua, z którego widać całe miasto, okoliczne wysepki i fiordy. Wszystko to ogarnięte ramionami Nocy i rozświetlone blaskiem ulic i domów. Nie mogłem wyobrazić sobie innego miejsca, lepszego miejsca, piękniejszego miejsca. Stałem tak przez chwilę, kiedy obok mnie zjawiała się Kari. Ona wiedziała, że mnie tutaj znajdzie, sama też lubiła tutaj przychodzić. Objęła mnie i przytuliła się. *Dziękuję* – Szepnąłem.

Nie ma lepszego miejsca dla nas, nie istnieje. Dla nikogo chyba nie ma lepszego miejsca, niż to, które mu przeznaczone jest. Możemy szukać i próbować, krańce świata przemierzać, ale nasze jest tylko jedno z tymi jedynymi widokami chmur i zachodami słońca, z ulubioną ulicą i horyzontem.

Przez te kilka chwil staliśmy tam, szepcząc światu nasze tajemnice i marzenia około godziny trzeciej, na skraju Nocy. Wróciliśmy zmarznięci i zadowoleni prosto do łóżka.

*

Potem były poranki, pierwszy, drugi, czwarty i szósty. I było tak, że nic nie pisałem, nie było słów, które miałyby zostać uwolnione przez pióro. Przesiadywałem w warsztacie i usiłowałem coś wydobyć z desek, skoro milczało pióro. Ålesund spodziewało się zimowego sztormu, który paradoksalnie przynosił ciepło. A ja coraz rzadziej już wracałem do myśli o innych realiach i kaprysie losu przestawnego. Przecież nie dotyczyło to bezpośrednio mnie. Wnioski, które miałem wysnuć, wysnułem. Nie mogę w tym momencie zakładać jak zachowałbym się w tej czy innej hipotetycznej sytuacji. Zakładać i snuć domysły, martwić się, miałbym okazję wtedy, gdy doświadczyłbym takiej sytuacji, gdyby los faktycznie porzucił mnie w innej rzeczywistości. Nie ma co zgrywać małomiałeczkowego filozofa. Tak, tak, wszystkie te konkluzje naszły mnie w warsztacie, przy dłubaniu nad kredensem. Śmieszne. A może to po prostu mój gorszy dzień. Tyle odnośnie tematu.

Kredens natomiast, nabierał kształtów, jeszcze teraz niezdarnych, lecz czas formował w nim duszę. Przedpołudnia spędzone w warsztacie, wieczory spędzone z Kari, czasami Noce na pisaniu. Wszystko to kształtowało nasz świat i osobowość. Wielkie słowa.

Wybrałem się chłodnym południem do sklepu, przy Sjøgata 4, a nie lubię robić zakupów. Już widzę te oburzone miny, ho ho, gotuje, a zakupów mu się robić nie chce. Z Kari to się jeszcze wybiorę, ale samemu – to nie to samo, nie ta sama zabawa. Przyzwyczaiłem się w czasie pracy w „Hotel Noreg”, że dostawca zawsze przywoził, to co było zamówione i takie jakie być miało. A teraz pelętam się z tym koszykiem między regałami i szukam makaronu z pszenicy durum. Chociaż, z drugiej strony, pewnie to i

lepiej, że nie wałęsam się gdzieś po sawannie z dzidą i nie szukam antylopy gnu, bo przecież los mógłby być złośliwy. Znalazłem! Jest makaron.

Z tym makaronem, to poszedłem aż do dzielnicy portowej, gdzie kapitan Sigurd złożył mi propozycje pracy na „Haraldzie”. Cóż, miałem swoje zobowiązania względem Anji Freyi Haugen, ale kiedy się z nich wywiąże to kto wie. Obiecałem się odezwać na wiosnę.

Zdaje się, że wszystko zaczęło się pół roku temu. A przecież cztery lata minęły. Taka refleksja mnie dopadła, kiedy wróciłem do domu. Pewnie to pod wpływem oferty pracy na holowniku, bo to była pierwsza praca jakiej się miałem zaraz po zamieszkaniu w Ålesund. Siedziałem na naszym łóżku i rozglądałem się po mieszkaniu. Mieszkanie było pełne naszych zdjęć, książek, przedmiotów, pełne nas i tych czterech lat. Lat, których nie oddałbym za nic w świecie. Mieszkanie na piętrze z fragmentem parteru przemianowanym na warsztat. Mieszkanie z kuchnią i sypialnią w jednym pomieszczeniu. Trzydzieści metrów kwadratowych naszej historii. Właściwie cztery lata zmieszczone w trzydziestu metrach kwadratowych Niesamowite.

Patrzyłem na to zdjęcie Kari, jedno z wielu na pełnej ich ścianie, ale to zrobiłem jej zaraz pierwszego dnia po wprowadzeniu się tutaj. Czarno-białe. Kari siedzi na kartonowym pudle w szaliku, rękawiczkach i czapce, która spada jej na oczy. W tle blask dnia wpadający oknem. Nie od razu mieliśmy tutaj ogrzewanie – uśmiecham się. Potem na inne obok, ta ściana to nasz fotopamiętnik. Ostatnie najaktualniejsze zdjęcie pochodziło sprzed miesiąca. Zrobiła je nasza sąsiadka, pani Raidun Marit Olson, ja i Kari opieramy się na jej starym Volvo. Pani Raidun jest bardzo dumna ze swojego samochodu, który nabyła jak nam wspominała, wiosną 1969 roku. Ani mnie, ani Kari nie było jeszcze wtedy na świecie, ale to były ponoć dobre czasy. Pani Raidun miała dwadzieścia pięć lat i zaczynała dopiero swoje życie. Tego roku aż dwóch Norwegów – Odd Hassel i Ragnar Frisch – otrzymało nagrodę Nobla, a panował jeszcze wtedy król Olaf V, syn Håkona VII. Jedynym co nie odpowiadało ówczesnie pani Raidun Marit, to premier Per Borten, który nie pochodził z ramienia Norweskiej Partii Pracy.

Czasami zdarzało mi się pracować w warsztacie również i

popołudniami, niektórym elementom należało poświęcić więcej czasu. W takie dni wieczorem schodziła do mnie Kari i wyciągała mnie do pubu, albo na spacer po mieście. Jednego wieczoru zaprosiliśmy Anje Haugen do nas na kolację połączoną z „obejrzeniem kredensu w stanie surowym”. Po dobrym przyjęciu „krzesel”, nie byłem już, aż tak zdenerwowany, a kredens się spodobał. Ostatecznie wtedy ta kolacja przeobraziła się w całonocną zabawę. Około dziesiątej zapragnęliśmy większego towarzystwa i obdzwoniliśmy większość znajomych i przyjaciół. To była długa noc, po której nastał krótki dzień. Z łóżka ośmieliliśmy się wyjść dopiero przy wieczorze.

Do pisania wróciłem popołudniem dnia następnego. Nie pracowałem wtedy w warsztacie, nie czułem się na siłach, chciałem się przejść. Patrzyłem na ośnieżone stoki gór znad Geiranger, aż po Trollheimen. Patrzyłem zaciągając się każdym oddechem, powietrze było pełne słów, których nie byłbym w stanie zapamiętać by je teraz zapisać.

W nocy rozszalał się sztorm. Wiało z niesamowitą siłą. Obudziłem się dosyć wcześnie, Kari miała iść do pracy, a ja namawiałem ją by wzięła wolne. Stacja meteorologiczna w porcie ostrzegała przed wypływaniem mniejszymi jednostkami i radziła zabezpieczyć wszystkie kilkanaście dodatkowymi cumami. Fatalna pogoda, deszcz z impetem tłukł w szyby, aż żal było opuszczać ciepłą pościel. Prosiłem Kari, by zadzwoniła do redakcji z pytaniem o wolny dzień, bo co w taką pogodę może się wydarzyć w naszym mieście. Uzasadniałem, że mogłaby mi urozmaicić pracę w warsztacie, a później zrobilibyśmy razem obiad. Jednak redakcja „Ålesund Nyheter” była szybsza. Zadzwonili pierwsi i Kari musiała iść.

Jakaś pozytywną siłą zebrałem się w sobie i po śniadaniu zszedłem, aby: dłubać, przycinać, impregnować, malować, wycinać, nawiercać, heblować i tym podobne rzeczy wyprawiać. Deszcz lał bez przerwy zmywając śnieg do ostatniego płatka – bezlitosne porównanie co? A z tego co słyszałem w popołudniowym komunikacie radiowym urzędu portowego, sztorm nad ranem miał siłę jedenaście do dwunastu w skali Beauforta. Nie zdarza się to często. Żeby przełamać tą skalę wiatr musi osiągać prędkość powyżej stu dziesięciu kilometrów na godzinę, a dziś rano naprawdę wiało mocno. Tutaj tak jest, że morze pieni się ze złości i chmury płyną nisko nad ziemią jak gdyby chciały

Elżbieta Balazy

Polskie ślady

W etnicznym kotle chicagowskiej metropolii, zwanej Chicagoland, Polacy są licznie reprezentowani. Oprócz tych prawdziwych, jak ja w Polsce urodzonych, jest też wielu noszących polskie nazwiska, ale mających nikłe lub żadne związki z nadwiślańskim krajem.

Ci Amerykanie, którzy się do polskich korzeni przyznają, na ogół mają bardzo niewielką znajomość języka, którym do nich mówiła w ich dzieciństwie „buszia”, czy nawet pra-babusia.

Ale jak tylko usłyszą że jestem Polką, to starają się popisać swoją polszczyzną. Najczęściej przytaczane zwroty to: „yak szie masz”, „day mi bużi” oraz „ydź do domu spacz”. Jakkolwiek popularność tych dwóch pierwszych jest raczej zrozumiała, tak zawsze zastanawia mnie dziwna komenda do nocnego wypoczynku. Moje pytania o pochodzenie tego powiedzenia pozostają bez odpowiedzi; moi rozmówcy znają jego znaczenie ale nie wiedzą w jakim kontekście było używane.

Pierwsze wytłumaczenie jakie przychodzi mi do głowy, to że polskie dzieci namolnie wysiadywały u sąsiadów i trzeba je było werbalnie kierować w domowe pielesze. A drugie, że pijanego gościa tym sposobem się z domu usuwało...

W prasie, wiadomościach, różnych publikacjach, polskie nazwiska przewijają się bardzo często. Te w formie pisemnej wyłapuję od razu i doceniam wysiłek włożony przez autora artykułu we właściwe uszeregowanie egzotycznego zestawu znaków pisarskich, który to zestaw w języku angielskim nie miałby prawa zaistnieć. Zabawa zaczyna się, kiedy usiłuję rozszyfrować pisownię polskich nazwisk z języka mówionego. Lata wprawy pozwalają mi na poprawne kojarzenie: ŁAJZAREK to Wieczorek, TAMZEK to Tomczak, ZYMZEK to Szymczak, a ZYŁYKI to Żywicki. Czasem jednak popadam w wątpliwość: czy KAZYNSKI to Kaczyński czy Koziński?

Jakby tych „polskich” dźwięków nie odbierać, to zawsze zwracają uwagę w potoku angielskiej wymowy.

Niedawno niejaka Jeanette Sliwinski, lat 22, w celu popełnienia samobójstwa, z ogromną szybkością wjechała w inny samochód na dużym skrzyżowaniu. Wyszła z tego ze złamaną

nogą, a wszyscy trzej pasażerowie staranowanego auta, młodzi muzycy rockowi, stracili życie. Niedoszła samobójczyni, oskarżona o zabójstwo z premedytacją, ma w perspektywie wiele lat odosobnienia, które będzie mogła zużyć na dogłębną medytację nad sensem i skutkami swojego działania.

Zupełnie inny wydźwięk ma inne polskie nazwisko, w powiązaniu z Parkiem Wicker (ŁYKER), w Północno-Zachodniej części Chicago. Właściciel trzy-apartamentowego budynku w starej „polskiej” dzielnicy, Conrad Cwiertnia, dziwak i kolekcjoner, swoją posiadłość zamienił w kuriozalne miejsce, które przychodzili oglądać mieszkańcy całej dzielnicy. Na przynależnej bocznej parceli, leżały hałdy urbanistycznych odrzutów, od wnętrzości windy, poprzez zbiór nietypowych cegieł, do rzeźbionych poręczy schodowych. A na froncie przed domem stało około stu donic różnego kalibru, w których rosły piękne kwiaty i krzewy. Kiedy Conrad zachorował na raka i nie mógł już przyjmować gości w swoim mieszkaniu-antykwaracie, dwoje lokatorów jego budynku, biolog i archeolog, ruszyło do dzieła: w miejscu uschłych nagle, dwóch stuletnich drzew, pomiędzy betonowymi i stalowymi tworami z innych miejsc i epok, powstał malowniczy ogród dla przyjaciół Conrada. I nie tylko: malarze rozkładali tam swoje sztalugi, artyści recytowali Szekspira, staruszki spacerowały malowniczymi alejkami. Wspaniały prezent dla chorego człowieka, który kochał życie.

Po śmierci Conrada, jego brat zignorował lokatorów, pragnących kupić miejsce, w które włożyli tyle serca i pracy. Sprzedał nieruchomość komuś obcemu. Ogrodowi groziła zagłada. Za zgodą Zarządu Parków i nowego właściciela, dwoje pasjonatów przewiozło cały ogród do wyznaczonej części Wicker Park. Najpierw na komputerze rozplanowali rozmieszczenie ponad 2.000 roślin, a potem na sklepowych wózkach, na odległość kilkuset metrów i wpoprzek dwóch ulic, ostrożnie przewozili kwiatek po kwiatku, krzew po krzewie, poświęcając więcej niż 1.000 godzin z własnego czasu.

Tak powstał Ogród Conrada - miejsce gdzie przychodzą artyści, dzieci i zakochani, miejsce które stało się pomnikiem ludzkiej przyjaźni i wyobraźni.

I tak wpisało się jeszcze jedno polskie nazwisko w historię i geografę Chicagoland.

Telefonowała do mnie Anna, sąsiadka z góry zaniepokojona, iż Łukasz nie odbiera telefonu. Była już godzina 21—a i powinien o tej porze być już w domu. Sama Anna podziębiona nie mogła pójść do niego, a poza tym jak już wspomniałem godzina była wieczorna. Zasugerowała mi czy nie mógłbym sprawdzić co się stało, bo boi się o niego. Ma klucze od jego mieszkania więc... Zaofiarowałem natychmiast gotowość udania się pod wskazany adres chociaż nigdy wcześniej tam nie byłem. Przed pójściem do Anny na górę po owe klucze zatelefonowałem pod numer Łukasza. Nikt nie odbierał. Annie obiecałem, że zaraz dam jej znać jaka jest sytuacja u niego w mieszkaniu. Szybkim krokiem poszedłem na ulicę Lwowską, prawie na drugą stronę miasta. Zastanawiałem się czy nie było by lepiej wziąć taksówkę, ale zwyciężyła myśl, iż wszystko powinno być w porządku i nie ma co przesadzać. Wiedziałem, że Łukasz był ostatnio w szpitalu w związku z chorobą serca ale przypuszczałem, że gdyby coś było nie tak, ktoś z sąsiadów coś by usłyszał, kogoś Łukasz by wołał na pomoc. Jednym słowem zaufałem nadziei iż nie tak łatwo umrzeć w bloku pełnym ludzi, bez ratunku. W końcu wiedziałem też, że Łukasz czasami wyjeżdża do rodziny na Śląsk i tak mogło być i tym razem, chociaż w takim przypadku dałby raczej znać Annie o swoim zamiarze, ale czasami podejmuje się przecież nagle decyzje. Podeszedłem do bloku w którym mieszka Łukasz, przycisnąłem guzik domofonu... Cisza. W pęk kluczy otrzymanym od Anny były klucze typu yeti. Pierwszy, który spróbowałem pasował. Brama się otworzyła. Sprawdziłem listę lokatorów. Nazwisko Łukasza figurowało pod numerem na trzecim, najwyższym piętrze. Idąc schodami zastanawiałem się czy wchodzić od razu samemu, czy zadzwonić może do sąsiadów i zapytać o to czy ktoś go może widział ostatnio, czy nie mówił komuś o planie wyjazdu? Spodziewałem się, że mogę go zastać na przykład zaspanego lub podpitego. Jego wiek raczej nie wskazywałby

na ta ostatnią ewentualność, także problemy z sercem, ale widziałem w życiu już nie jedno... Wyszedłem na trzecie piętro, popatrzyłem na sąsiednie drzwi, na tabliczki z nazwiskami lokatorów. Ku mojemu zdumieniu zaraz obok drzwi do mieszkania Łukasza przeczytałem na tabliczce nazwisko znanej poetki. To nie mógł być zbieg okoliczności! Wiedziałem, że po rozwodzie z Anną, Łukasz chodził z Kornelią. Kiedyś nawet przyszedł z nią na spotkanie Tarnowskiego Klubu Literackiego, któremu swego czasu prezesowałem. Kornelia wydała jeden tomik wierszy. Jeden bardzo spodobał się Adamowi z Warszawy. O okolicznościach jego tragicznej śmierci pisałem już wcześniej Ten wiersz był o plenerze malarskim nad jeziorem. Kornelia też malowała i stąd zapewne jej zbliżenie się do Łukasza. Z drugiej strony wiedziałem o problemach psychicznych Kornelii. Parę razy do mnie telefonowała, wysuwała nierealne projekty. Wreszcie przysłała mi grubą przesyłkę ze swoimi tekstami w których niestety nie znalazłem niczego godnego uwagi. Miejscowa gazeta, tygodnik opublikowała artykuł Kornelii na zasadzie hecy. Pisała w nim niesamowite historie o przybyszach z innych planet. O Marsjanach, którzy nas wszystkich śledzą, którzy gwałcą młode kobiety i dziewczęta. Sama Kornelia oświadczała być ich ofiarą! Mogło by to być śmieszne, gdyby nie było tragiczne. Nela w to wierzyła!!! Najpierw postanowiłem zadzwonić nie do Kornelii, lecz do sąsiadów naprzeciwko. Nikt nie otwierał. Zadzwoniłem do Neli, także cisza. Moje obawy wzrosły. W takiej sytuacji kiedy nikogo nie było na piętrze, mogło dojść do sytuacji w której nikt nie udzielił by Łukaszowi pomocy w razie potrzeby. Otworzyłem drzwi do mieszkania. Ciemno. Zaświeciłem światło w przedpokoju. Pusto. Na wprost w kuchni też pusto, zajrzałem do małego pokoju po lewej stronie przedpokoju, też pusto. Przeszedłem na prawą stronę do dużego pokoju. Nacisnąłem kontakt. Na niezaścielonej wersalce też pusto. Cały pokój pusty. Wróciłem do telefonu w małym pokoju. Zatelefonowałem do Anny. Zdałem relację z tego co zastałem i powiedziałem, że wracam do niej. Zaraz po tej rozmowie kiedy odłożyłem słuchawkę, telefon zadzwonił. Łukasza szukał jakiś znajomy, który z nim rano pojechał poza miasto. Wyjaśniłem iż szukam go również na zlecenie

Anny.

Zamknąłem mieszkanie, zszedłem po schodach na dół, wyszedłem na ulicę. Na najbliższym rogu przy sygnalizacji świetlnej spostrzegłem Łukasza. Wracał z wesołą miną. Pierwszy zapytał mnie co robię w jego okolicy? Byłem u Ciebie, odparłem. Zdumionemu wyjaśniłem przyczynę odwiedzin i niepokój Anny. Był u znajomego na działce. Obiecał mi rewanż za interwencję. Nie ma sprawy – powiedziałem. Uważam za naturalny odruch pomoc w takiej sytuacji. Wszystko dobre co się dobrze kończy.

2 października poszliśmy z Olą do Pałacu xx Sanguszków w Gumniskach. Odbywały się tam uroczystości związane z 200 setną rocznicą budowy Pałacu. Władze miasta wystosowały okolicznościowe zaproszenia do rodziny książęcej ale ani księżna Claudia ani jej syn książę Paweł nie przybyli z Brazylii, gdzie aktualnie mieszkają. Odpisali na list odpowiadając, że na przeszkodzie stanęły im sprawy rodzinne. W zastępstwie przybył kuzyn Sanguszków, Marcin hrabia Krasicki z małżonką i plenipotent książąt pan Aleksander Ostrowski. Po porannej mszy w pałacowej kaplicy w intencji rodzin Sanguszków i Krasickich odbyła się sesja historyczna w której uczestniczyli historycy tarnowskiego muzeum posiadającego w przeważającej większości eksponaty ze zbiorów książąt Sanguszków właśnie. Po południu z udziałem mieszkańców Tarnowa odbył się piknik w pałacowym parku, świetnie zachowanym ze względu na ulokowanie w rezydencji Szkoły Ogrodniczej. Na fasadzie budynku tuż przy podjeździe i przy kolumnach odsłonięto okolicznościową tablicę poświęconą informacji o byłych właścicielach. Z tej też okazji bractwo kurkowe pod wodzą króla kurkowego pana Józefa Bossowskiego oddało 2 wystrzały z posiadanej przez nich wiwatówki. Obecny był prezydent miasta, konsul niemiecki, muzealnicy, dyrekcja i grono szkoły ogrodniczej i młodzież. Sporo młodzieży z Liceum Sztuk Plastycznych, poprzebieranej w stroje historyczne wypożyczone w teatrze. Stadnina koni z Klikowej prezentowała swoje powozy i zaprzęgi. Zrobiłem Oli fotografię na tle pary ładnych białych koników. Wewnątrz pałacu w dawnej sali balowej urządzono wystawę pamiątek. Portretów, pomników, mebli itp. eksponatów będących w posiadaniu muzeum po Sanguszkach. Dzielono ogromny 3 piętrowy tort. Spotkaliśmy w trakcie uroczystości kolegę, tatę Marysi, z osobą towarzyszącą. Zdaje się, że zabiegi pani doktorowej są zbędne. Zainteresowany

sam znajdzie sobie żonę. Przynajmniej na to wygląda.

Zatelefonował do mnie Józio. Przepraszał, mówił, że kłęczy przy telefonie na grochu. Powiedział mi o opublikowaniu mego wiersza w „Wiciach Polonijnych”. Jeszcze go sam nie czytałem i nie wiem o który chodzi bo w redakcji zostawiłem trzy. Józio mówił, że porobili jakieś błędy. Szkoda. Zdaje sobie sprawę z faktu niemożliwości uniknięcia pomyłek jeśli coś robi się z dnia na dzień, na tzw. wariackich papierach, bo składanie gazety codziennej VII Światowego Forum Mediów Polonijnych odbywa się późną nocą, nie rzadko po wódce lub w jej trakcie. W tym roku przyjechali dziennikarze prasy, radia i telewizji z 29 krajów. I to właśnie jest najcenniejsze w tej imprezie patrząc na nią z mojego punktu widzenia. Wiersz (z błędami) ale trafi do 29 krajów świata, do Polonii. Byłoby lepiej, żeby był bez błędów ale w sumie jest oczywiste, że to nie ja te błędy popełniłem. Mogę zresztą zgodnie z prawem prasowym za rok poprosić o sprostowanie pomyłek. Ewentualnie o zamieszczenie tekstu jeszcze raz tym razem poprawnie. Wierzę iż VIII Forum się odbędzie. Z Józkiem umówiłem się u mnie w sobotę o 11-tej.

Przedwczoraj przyjechał Waldek. Bardzo długo nie miał przepustki aż wreszcie dostał cały tydzień wolnego. Nie widzieliśmy się 2 dni pomimo jego obecności bo ja siedziałem te 2 dni w szkole, we wtorek 12 godzin! Od 8 rano do 15-tej lekcje, od 15.30 rada pedagogiczna. Nie zdążyłem nawet pójść na obiad. Dobrze, że Ola na tyle odzyskała formę i mogła mi przynieść obiad w menażce. Zjadłem go o 20-tej. Rada skończyła się za 20 minut godzina 20-ta. Dzisiaj tj. w środę po lekcjach od 8 do 15-tej, w tym 2 „okienka”, od 16.30 zebranie klasowe z rodzicami do 18.30. Dopiero o tej porze miałem okazję „swobodnie” gdyby nie liczyć zmęczenia porozmawiać z Waldkiem ale on właśnie wybierał się na pożegnanie lata na tarnowskim rynku. Przygotowano z tej okazji koncert na estradzie koło ratusza na wolnym powietrzu. Ostatnio imprezy tego typu bardzo się upowszechniły i są dość częste. Waldek mężnieje i tężęje fizycznie i choć to pewnie efekt tego iż dają w kość, minę ma wesołą. Ma z sobą w armii telefon komórkowy. Ostatni rachunek wynosi 290 złotych! Ja płacę miesięcznie za telefon stacjonarny ok. 30 zł. Właśnie telekomunikacja przesłała informację o zmianach numerów telefonów w Tarnowie od dnia 30 września na 7-mio cyfrowe. Do starych numerów trzeba będzie dodawać

szóstkę na przedzie. Długie numery wynikają z przyrostu liczby abonentów i dają poczucie wielkomiejskiej metropolii, którą Tarnów nie jest.

Po zlikwidowaniu dotychczasowego miesięcznika na którego łamach nieco publikowałem powstał nowy tytuł: „Powiśle, Pogórze”. Redaktorem naczelnym jest nadal tak jak w „Tarninach” Henio. W zespole redakcyjnym eksdyrektor wojewódzkiego wydziału kultury pani Barbara. Od niej właśnie dostałem pierwszy numer tego pisma z lipca. Wspomniano w nim o wydarzeniach sprzed lat, m.in. 10 lat temu organizowałem w Jodłówce Tuchowskiej sejmik tarnowskiego Klubu Pisarzy „Trop” i zredagowałem z tej okazji almanach pt. „Most przestrzeni”. „Powiśle, Pogórze” o tym przypominało. Miło mi. Idea przewodnią miesięcznika jest prezentacja gmin powiatu tarnowskiego.

Numer lipcowy poświęcono gminie Tuchów, drugi, sierpniowy gminie Zakliczyn. Oprócz owych prezentacji są oczywiście artykuły o sprawach tzw. ogólnych, o zakończonej w czerwcu pielgrzymce papieża do kraju, materiał zatytułowany „Krajobraz po województwie” i inne. W spisie treści numeru wyodrębniono działy: Ludzie regionu, Taka gmina, Taki powiat, Z regionu, Czas relaksu, Finanse, Muzyka, Sport, Zdrowie, Listy, Rozmowy będą też pewnie inne. Zwróciły moją uwagę artykuły: Barbary pt. „Dobrze jest pielgrzymować”, kalendarium tuchowskie 10,25 i 100 lat temu, w informacjach z regionu wyczytałem notkę o Jurku, mężu Jagny. O tym, że wybrano go na prezesa Tarnowskiego Towarzystwa Fotograficznego. Napisano też o tomiku Eli, pisałem o jej krakowskich sukcesach w klubie „Pod gruszką”. Okładkę tomiku Eli zaprojektowała Anna ale tego już nie napisali. Krajobraz po województwie opisał Henio. Są też fraszki jak przypuszczam Henia na ekswojewództwo Grada, na senatora Sikorę, na Azoty itp. Bardzo dobre są zdjęcia. Numer sierpniowy, dostałem w trakcie Forum Mediów Polonijnych.

Ogłoszono w nim przygotowania do publikacji podczas Dni Tarnowa w roku 2000 listy 100 Najśłynniejszych Tarnowian. W kapitule konkursu zasiedli m. in. dyrektor miejscowego muzeum, historycy z muzeum, znam bardzo dobrze pana Kazia, kustosa wielu wystaw, z którym wspólnie spotykałem się na zebraniach tarnowskiego oddziału Towarzystwa Historycznego, pan Antoni, historyk pisujący o lokalnych wydarzeniach w miejscowym

tygodniku „Temi”, prezydent i wiceprezydent miasta i inni.

Dostałem numer „Wici Polonijnych” z moim wierszem. Usterka jest minimalna, literowa. Zamiast „do nas” napisano „do nad”. Z kontekstu wynika oczywistość błędu redakcyjnego. Można to spokojnie wybaczyć bez sprostowań. Józio wystąpił też omówienie moich recenzji do ogólnopolskiego tygodnika literackiego „Akant” ukazującego się w Bydgoszczy i wydrukowali je.

Idziemy za chwilę na wernisaż Ani, do nowo otwieranej galerii w hotelu „Tarnovia”. Oprócz Ani tkaniny artystycznej prezentowane będą grafiki i obrazy Wojtowicza ale Krzysztofa, którego nie znam a nie Janusza, plastyka, męża mojej koleżanki Teresy z którą pracowałem jeszcze w Studium. Podczas otwarcia wystawy recital zaśpiewa Iga Cembrzyńska, może będzie też jej mąż, reżyser Andrzej Kondratiuk.

Wróciliśmy z wernisażu i z recitalu. Doskonale oba wydarzenia się uzupełniły. W hollu hotelu zawieszono prace Wojtowicza, grafiki podobne nieco do tego co robi Purczyński i oleje bliskie anegdocie i żartom malarskim Pazery. Tkaniny Ani były w sali obok, tam gdzie przygotowano scenę dla pani Igi. Krótkie przemówienie-wstęp wygłosił sam Witold. Obeszliśmy holl, oglądając z bliska wszystkie prace. Podobały mi się, zwłaszcza w grafikach intymne szczegóły, na przykład rysunek pary, ona z wyciągniętą szyją, całująca jego w policzek. Na innym świat baśniowych zwierząt: kolorowy wąż, ukryty w cieniu byk. Sfotografowałem Olę na tle oleju ukazującego wieżę Eiffla z wyłaniającą się z niej głową artysty. Autor tych prac ukończył PWSSP w Łodzi, uczy w Liceum Sztuk Plastycznych w Rzeszowie.

Otrzymał w 1996 roku nagrodę na Międzynarodowym Salonie Malarstwa Europy Centralnej w Paryżu. Poprosiłem go o autograf na druku wydanym przez sponsora wydarzenia zawierającym biogramy jego i Ani z krótkim opisem dokonań twórczych. Nie można go jednak nazwać ani zaproszeniem ani katalogiem bo nie ma spisu prac. Na monitorze pokazano impresję filmową z poprzedniej wystawy malarskiej Ani. Spotkaliśmy mnóstwo znajomych bliższych i dalszych m.in. Agatę, moją eksuczennicę ze Studium, z wydziału plastycznego, Oktawię, absolwentkę tegoroczną naszego plastyka. Była razem z rodzicami. Jej tato jest znanym artystą, rzeźbiarzem, przyjacielem

Mariana, świadka na naszym ślubie. Kolegi z klasy mego starszego brata. Inni obecni to np. pani Stasia, nauczycielka plastyki, pani Danusia, nauczycielka z I Liceum, pani Lidia, ekswizytorka kuratorium, Piotr, mąż Ani, Marzena, koleżanka z pracy, Piotr, malarz i nauczyciel wystawiennictwa u nas w szkole, Andrzej, pracownik wydziału kultury urzędu miasta, Filip, dziennikarz i urzędnik wydziału kultury, kiedyś nawet naczelnik i wielu, wielu innych.

Recital Igi rozpoczął się piosenką, którą zawsze śpiewa na początku, z refrenem „...bo to jest mój intymny mały świat...”. W repertuarze miała teksty: Kondratiuka, Okudźawy, Himilsbacha (kiedyś poznałem go w Warszawie i wypiliśmy butelkę wódki: on, ja, Wojtek, poeta wtedy z Krakowa, dzisiaj redaktor TV, korespondent programu I z Zakopanego). Śpiewała też standard jazzowy Gerschwina, piosenkę Abramowa-Newerlego „Obiecałam, że do ciebie przyjdę, nie przyszłam, obiecałam, że za ciebie wyjdę nie wyszłam, bo ja to mówiłam żartem...”, nie pamiętam tytułu więc cytuję dłuższy fragment. Mamy tą piosenkę nagraną na kasety video w wykonaniu Małgorzaty Jareckiej.

Minęły ponad dwa tygodnie przerwy w pisaniu tego dziennika. Do pewnych wydarzeń powrócę, inne bezpowrotnie uciekły. Trudno. Ten okres był wyjątkowo przepełniony wieloma zaszłościami. Szczególną rolę pełni jak zawsze stan samopoczucia Oli. Czuje się źle. Jesień, gwałtowne ochłodzenie, szybko zapadający zmierzch to elementy odgrywające istotne znaczenie. Dodatkowy czynnik to efekt powakacyjny, znowu więcej czasu jest sama w domu, kiedy idę do pracy. Parokrotnie odwiedziliśmy lekarzy: wujka Józia, pana Wiesława. Ola kontaktowała się z panem Jackiem w sprawie psychoterapii. Przedwczoraj poszliśmy z Olą do babci Maćka, Wacka i reszty mych bratanków (trzeba by wymienić 6 imion aby ich wszystkich uwzględnić) – Lusi. Odwiedziła mnie przed ponad tygodniem w szkole. O wizycie tej dostałem uprzedzający telefon od mojej mamy na chwilę przed jej zaistnieniem. Poproszony w trakcie lekcji do telefonu wystraszyłem się o stan zdrowia taty i Oli. Taki mógł być przecież powód nagłego telefonowania! Okazało się jednak na szczęście, że szło jedynie o wsparcie finansowe zakupów podręczników dla Maćka. Lusia wręczyła mi znaczną kwotę pieniędzy z prośbą o dokonanie zakupów potrzebnych książek. Dzięki temu mogłem wpłacić za Maćka składkę na podręcznik do

języka angielskiego, składkę za basen, na wycieczkę do Jeżowa (w dniu nauczyciela). Kupiłem też wszystkie brakujące mu książki za wyjątkiem chemii, której nadal nie ma w sprzedaży w księgarniach. Wyjście z Olą do Lusi miało na celu dokonanie rozliczenia z przekazanych mi funduszy.

Ola poczekała w poczekalni przychodni okulistycznej, gdzie przyjmuje babcia Lusia. Ja wszedłem w przerwie pomiędzy pacjentami, przed akurat tak się złożyło, znaną mi Basią, z którą pracowałem przed 18 laty w Biadolinach. Lusia wszystko przyjęła ze słowami iż nie oczekuje dokładnych wyliczeń i z zapewnieniem dalszej pomocy kiedy tylko zajdzie taka potrzeba. Sam też finansuję edukację Maćka, m.in. zeszyty, kartony itp. pomoce szkolne oraz drugie śniadania (drożdżówki). Po wyjściu z przychodni przy bardzo ruchliwej ulicy Narutowicza miałem wrażenie, że Ola jest nieobecna myślami i może wejść niespodziewanie pod pędzące auta. Wziąłem ją za rękę. Przeszliśmy kilkanaście metrów i wtedy Ola odezwała się.

- Wiesz, tak źle się czuję, że chciałabym umrzeć.
 - Wyczułem to, miałem wrażenie, że możesz nawet nieświadomie wpaść pod samochód.
- Przytuliłem ją i pocałowałem. Wewnątrz pozostał jednak we mnie niepokój.

Musiałem się tym podzielić z jej mamą. Nazajutrz poszedłem z Olą do psychoterapeuty Jacka. Nie wchodziłem do gabinetu dając jej pełną swobodę. Poprzednio, kiedy u lekarza weszliśmy razem Ola była zła, że nie mogła się skupić a lekarz ograniczył się po jej paru zdaniach do pytań skierowanych do mnie i do wypisania recept. Potem długo nie mogła odzyskać równowagi, poszliśmy do Tarnovii, do restauracji, zamówiliśmy po szklance soku grejpfrutowego. Siedzieliśmy tam prawie godzinę. U Jacka, Ola też chyba nie do końca się uspokoiła jednak pozytywnym rezultatem tej konsultacji było zalecenie nie unikania imienin cioci Reny co do których Ola nie miała przekonania, bojąc się chyba kontaktu z wieloma ludźmi w sytuacji braku samokontroli.

Dzień wcześniej tj. w dniu spotkania przed południem z babcią Lusią, wieczorem poszliśmy na wernisaż Andrzeja Dudzińskiego. Jak zwykle zabrałem ze sobą aparat fotograficzny. Poprosiłem Witolda Pazerego aby zrobił mi zdjęcie z Andrzejem w chwili kiedy ten podpisywał mi swoją książkę o kinie. Ola nie

czuła się dobrze i nie chciała nawet słyszeć o robieniu zdjęć. Dudziński na stałe od lat mieszka w Nowym Jorku i do przyjazdu do Tarnowa skłonił go obecny III Festiwal Komедии Talia 99. Wernisaż wystawy pt. „Komedia ludzka” skupił jak zwykle miejscowe środowisko plastyczno-artystyczne. Przyszedł m. in. Muzyk grupy Ziqo, Jurek Durał. Były Ania i Ola. Teresa, nasza koleżanka z pracy, artystka-malarka też mimo zwolnienia lekarskiego, bo ostatnio upadła na ulicy i mocno się potłukła. Na szczęście już wraca do formy. Jej syn Miłosz (imię na cześć Czesława, w roku jego nagrody Nobla) chodzi aktualnie do naszej szkoły. Pojechał z klasą Maćka do Jeżowa jako uczeń V klasy, laureat Grand Prix VI Ogólnopolskiego Pleneru Malarskiego potrafi zrobić korektę rysunków dzieci z klasy gimnazjalnej za nieobecną w pracy mamę. A propos Miłosza dodam, że „chodzi” z Magdą, koleżanką ze swojej klasy, córką mojej znajomej z przed wielu lat, z którą byłem na wakacjach harcerskich w Kisielówce koło Limanowej czy też w Dobrocieszu.

Coraz bliższa jest chwila rozpoczęcia się roku 2 tysiącznego. Data ma niemal magiczny wymiar. Mnożą się podsumowania tysiąclecia.

Szereg historyków uważa, że wiek XX skończył się już w 1991 r. rozpadem ZSRR. Ostatnie stulecie, w ujęciu globalistycznym, podsumowującym podobne tendencje ideologiczne i siły napędowe zdaniem wielu autorytetów trwało zaledwie 77 lat. Od 1914 do 1991 r., od strzałów w Sarajewie do arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Adam Krzemiński w „Polityce” napisał, że „...Była to epoka wojen, rewolucji, nieznanych dawniej totalitarnych ustrojów, a równocześnie gigantycznych przemian technicznych, gospodarczych i kulturalnych...”. W tym czasie zamordowano ok. 187 milionów ludzi! I drugi cytat z Krzemińskiego „...O ile Polska przegrała „długi XIX wiek”, zniknęła z mapy politycznej i mimo powstań i dyplomatycznych zabiegów nie udało jej się na polityczną scenę powrócić, o tyle jest jednym z niewielu beneficjentów tego krótkiego wieku...”. Wygraliśmy w 1920 roku! W 1945 r. pomimo sowieckiego zniewolenia Polska zachowała ducha walki z okresu realizacji planu „Burza” i z tragicznego Powstania Warszawskiego. Duch ten ożywia społeczeństwo w chwilach politycznych przesilen lat 1956, 1970 a zwłaszcza 1980-1981.

Nowością jest podejście do historii Normana Davies’a.

Autor „Europy”, tj. jej historii, przedstawia wiele ciekawostek w minimalnych porcjach, tzw. kapsułkach. Otrzymujemy więc historię widelca czy krawatu i innych drobiazgów. To ciekawe ale przy okazji traci się miejsce na opis spraw o wiele ważniejszych. Kapsułki określono rodzajem „wideoklipów historycznych”, „pocisków informacyjnych” wymierzonych w czytelników z telewizyjnego a więc obrazowego pokolenia. Wszystko to zmierza oczywiście do demokratyzacji historii i akceptacji jej różnych punktów widzenia. Słuszne jest podkreślanie budowania historii zaufania a nie kultywowanie dotychczasowych narodowych uprzedzeń. Piszemy się iż „pamięć nie musi już służyć powszechnej mobilizacji narodowej”, że „straszyć Brukselą i Myszką Miki jak Hakatą i Apuchtinem to jednak nonsens widoczny gołym okiem”. A jednak mimo, że nikt nie chce nam odbierać np. Wrocławia, widać wyraźnie ekonomiczny napór Niemców i ich wolę kupowania naszej ziemi na Śląsku, w byłych Prusach Wschodnich czy w Alzacji i Lotaryngii. Ułatwiają to także różnice cen.

Porównuje się oczywiście rok 1918 i 1989. Andrzej Garlicki w „Polityce” napisał, że III Rzeczypospolitej „...Historia oszczędziła konieczności odpowiedzi na pytanie, czy umielibyśmy ułożyć stosunki z mniejszościami, czy też Polska podzieliłaby los Jugosławii...”. Piszę o tych problemach od początku tego dziennika. Zaczynam wręcz od kwestii „przypolaczania się”. Widzę pozytywne przykłady przewycięzania różnic religijnych w rodzinie Seilerów. Jako podstawowy autorytet uznaję papieża Jana Pawła II i jego otwartość dla spraw dialogu międzywyznaniowego i ekumenizmu. To w jego personalistycznej filozofii dostrzegam załazek odrodzenia się ludzkiej solidarności, obejmującej posłaniem I Zjazdu NSZZ „Solidarność” kraje Europy Środkowo-Wschodniej, niewolonej przez rosyjsko-komunistyczny hegemonizm. Ujmując nasze dzieje od strony modnej obecnie historii idei dostrzec trzeba po pierwsze etos chrześcijański, po drugie mit romantyczny. Wartością ogólnoludzką są na pewno: kultura i sztuka (polski wkład jest nie mały), postęp techniczny i medyczny, zasoby naturalne naszej planety.

Układając listę najdonioślejszych wynalazków i odkryć XX stulecia w pierwszej dziesiątce czytelnicy „Polityki”

umieścili: penicylinę, kod DNA, telewizję, samochód, samolot, komputer, radio, laser, bombę atomową i lot na Księżyc. Na dalszych pozycjach sklasyfikowano: przeszczepy serca, film, klonowanie ssaków, tranzystory, światłowodów, żarówkę, radar, kompakt, diody, zamrażanie żywności i inne zdobycze. Generalnie zgadzam się z taką kolejnością.

Ciekawe jest też zestawienie największych dobroczyńców i zbrodniarzy odchodzącego wieku. W światowej skali, jako pierwszego, Ci sami czytelnicy „Polityki” umieścili papieża-Polaka, kolejno następują po sobie: Mahatma Gandhi, Piłsudski (moim zdaniem za wysoko), Churchill, Gorbaczow, de Gaulle, Martin Luther King, Wałęsa, Franklin D. Roosevelt i Kohl. Poza pierwszą dziesiątką są m. in. Reagan, Willy Brandt, John F. Kennedy, Mandela, Jan XXIII, Adenauer, Wilson, Paweł VI, Paderewski, Sikorski, prymas Wyszyński, Matka Teresa, Dmowski, Dalajlama, Witos.

Na przeciwnym biegunie umieszczono: Hitlera, Stalina, Lenina, Pol Pota, Mussoliniego, Mao Tse – tunga, Dzierżyńskiego, Saddama Husajna, Ceausescu i Kim Ir Sena.

W rankingu Polaków stulecia wybrano: papieża Karola Wojtyłę, Marię Skłodowską-Curie, Piłsudskiego, Paderewskiego, Sienkiewicza, Wałęsę, Wyszyńskiego, Giedroycia, Jaruzelskiego i Szymborską. Dalsze pozycje zajęli: Sikorski, Miłosz, Penderecki, Eugeniusz Kwiatkowski, Balcerowicz (sic!), Kieślowski, Korczak, Kotarbiński, Lem, o. Kolbe, Reymont, Kiepusza, Żeromski, Wyspiański, Wajda, Rubinstein, Boy-Żeleński, Anders, Lutosławski, Tatarkiewicz, Kwaśniewski (sic!), Karol Szymanowski, Gombrowicz, Kantor, Witkacy, Witos, Mrozek, Dmowski, ks. Popiełuszko. W gronie tym jest wielu pisarzy. Zdaniem Andrzeja Wajdy obrońcami polskości, naszej tożsamości kulturowej muszą być: nauczyciel, ksiądz, lekarz, artysta. Te profesje wiążą ludzi je wykonujących. Kojarzą się z powołaniem. To są zawody wymagające inteligencji. I choć według cytowanego już powyżej Wajdy, kultura polska jest kulturą szlachecką a nie ludową, to do jej najwspanialszych twórców należą: Karol Wojtyła, sam Wajda, Kantor, Mrozek, Lem, Tuwim, Kiepusza, Rubinstein, Roman Polański, Stefan Banach, Bruno Schultz, Gustaw Herling-Grudziński, Hoffman czy ks. Tischner. Siłą naszej kultury jest jej różnorodność.

Dni mijają a refleksje są na ogół krótkie bo nie ma czasu

na dłuższe dywagacje. Zastanawiam się nad treścią swoich notatek. Sporo w nich, oprócz oczywiście zdarzeń rodzinnych, uwag dotyczących przeszłości, wyliczeń genealogicznych, opisów wernisaży, lektur, informacji codziennych. Uświadomienie sobie tego, wszystkiego i możliwość powrotu do epizodów choćby sprzed miesiąca stanowi dla mnie dużą wartość. Myślę, że jest to wartość istotna nie tylko dla mnie. Każdy, kto przeczyta, tych na razie kilkadziesiąt stron, może porównać swoje doświadczenia, może podjąć podobne rozważania dotyczące tego co naprawdę liczy się w życiu. Rubasność mego ojca, pokonywanie problemów przez Basię i Tadeusza, niezdecydowanie mamy – te wszystkie postawy bohaterów tego dziennika, są pomimo pobieżności charakterystyk, różnymi sposobami egzystencji, zapisem metod zmagania się a „rózewiczowską” małą stabilizacją. „Gombrowiczowskim” odbijaniem się. Kiedy przeglądam pobieżnie zapis tego minionego czasu, wiem na pewno, że nie był to czas stracony. Pomimo tempa życia łapię wolne chwile na osobistą lekturę, nie tracę rozeznania co tworzą nasi tarnowscy artyści plastycy. Podziwiam ich twórczy niepokój i dzielam zapał z jakim biorą przyszłość w swoje ręce. Osobiście również uważam, że należy kształtować swój los na tyle na ile jest to w ogóle możliwe.

Znowu minął tydzień. W piątek poszliśmy z Olą do kina na premierę „Pana Tadeusza”. Film bardzo się nam podobał, wychodziliśmy z kina „Marzenie” krokiem tanecznym w rytmie poloneza. Świetna obsada, właściwie wszyscy zagrali wybornie. Alicja Bachleda-Curuś, filmowa Zosia, mimo młodego wieku bardzo dobra. Dużo lepsza od „Skorupki” tj. Heleny Kurcewiczówny z „Ogniem i mieczem”. Inna sprawa, że role mickiewiczowskie dają większe pole do popisu. Reklama filmu Hoffmama była przeprowadzona na o wiele większą skalę ale okazuje się, że Wajdzie takie działania nie były potrzebne. Na pewno znajdują się tacy, którzy będą wybrzydzać na konieczne przecież opuszczenia wielu partii epopei ale osobiście uważam wszystko za przemyślane i oddające co przecież najważniejsze atmosferę poematu. Z sukcesem rozwiązano jak wcześniej mi się zdawało największy problem adaptacyjny czyli trzynastozgłoskowy wiersz filmowych dialogów. Aktorzy tak

świetnie głoszą swoje kwestie iż nie zauważa się nieomal, że tekst jest rymowaną poezją! Nieprawdopodobne ale możliwe. Czytałem pierwsze recenzje i opisy scen. Na przykład opowiadanie Telimeny o jej bytności w Peterburku. Musiała je powiedzieć tak szybko, aby zmieścić się w ściśle określonym czasie. Podoba mi się Linda, odmieniony habitem bernardyńskim księdza Robaka, Żebrowski-Tadeusz. Seweryn-Sędzia w scenie z Robakiem nie dając nakłonić się do zgody szarżuje aktorsko, skacząc i machając rękami niczym Cześnik Raptusiewicz z fredrowskiej „Zemsty”. Podobny „kaskaderski” moment ma Kondrat-Hrabia ocierając się o wzór rycerza-samochwały Papkina. Ogólnie jednak jest poważniejszy i jego artystyczne i romantyczne upodobania np. chęć zemsty ale poprzez uwiedzenie np. córki Sędziego, której ten niestety nie ma, nie burzą realistycznego wizerunku postaci na cętkowanym koniu. Genialny jest Olbrychski-Gerwazy. Zwłaszcza w scenie z Hrabia, w trakcie opowiadania historii Horeszków i podczas bitki w czasie uczty na zamku. Dobrze został ucharakteryzowany na Mickiewicza, Kolberger. W ostatniej scenie filmu, w mieszkaniu wieszczą w Paryżu na kominku stoi białe popiersie papieża Jana Pawła II-go! Tak przynajmniej mi się wydaje. Moje wrażenie jest tak przemożne iż ośmielam się sądzić, że tak być powinno, nawet gdyby było to moje urojenie! To jest dopiero pointa eposu narodowego!

„Pan Tadeusz” i „Ogniem i mieczem” nawiązują do mitu Polski szlacheckiej, żywego i popularnego nie tylko w kręgu osób pochodzenia ziemiańskiego czy inteligenckiego. Świadczy to o istnieniu wspólnego dziedzictwa kulturowego współczesnych Polaków i jest nadzieją na odrodzenie wielkiego wysiłku umysłowego narodu, charakterystycznego dla naszego renesansu, oświecenia i wieku XIX-tego nie tylko na emigracji. Przetrwaliśmy zatem PRL i okres zniewolenia, indoktrynacji i ograniczeń. Patrząc wstecz na lata w których ukształtowały się osobowości reżysera, aktorów, licznych intelektualistów, można bez żadnej przesady stwierdzić iż im trudniej tym bardziej się mobilizujemy. A efekty naprawdę przechodzą najśmielsze oczekiwania. Szlachecka Polska nie raz krytykowana i odsadzana od czci zawiera w sobie bogactwo postaw: daleko idącej tolerancji jak za czasów konfederacji warszawskiej, zawadiackiej fantazji nie tylko od machania szabelką, że to „...co nam obca przemoc wzięła...odbierzemy...” ale i że nie damy sobie “dmuchać w kaszę” co stanowi o

temperamencie, wreszcie aby nie ciągnąć tej listy w nieskończoność, gościnności, prostoduszności, hojności aż do “zastaw się a postaw się”.

Teraz garść szczegółów, wycinków z prasy z ostatnich dni. Najpierw o Muzeum Drogownictwa w Szczucinie. W ramach akcji Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego obok unikalnej w skali europejskiej kolekcji maszyn drogowych i prezentacji różnych sposobów budowy dróg w dawnych czasach umieszczono dwa konie! Zwierzęta wykonano z drewna i styropianu. Na fotografii wyglądają jak żywe a rzeczywistość coraz trudniej na ulicach zobaczyć konie, tak częste dawniej. Pamiętam nawet taki tytuł prasowy – „Portret pamięciowy konia”. Sarmacka Polska, malarstwa Kossaków, Grottgera, Michałowskiego, będzie zabytkiem muzealnym?! Brzmi to jak żart ale wobec zachodzących przemian chyba dobrze, że wykonano tego konia ze styropianu.

Papież ogłosił trzy katolickie święte: Brygidę, Katarzynę Sienieńską i Edytę Stein, siostrę Teresę, duchowymi współpatronkami Europy. Obok świętych: Benedykta, Cyryla i Metodego będą one symbolizować rolę jaką kobiety odgrywały i odgrywają w kościelnej i świeckiej historii kontynentu. Szczególnie postać św. Edyty porusza wiele wątków współczesnego świata, dotyka sygnalizowanego już wcześniej przeze mnie problemu Wrocławia, jako miasta wielokulturowego dziedzictwa.

Wiele zamieszania wynikło wokół wystawy pt. „Sensation” w Brooklyn Museum of Arts w Nowym Jorku. Rozgłosu sprawie nadał sprzeciw burmistrza miasta Rudolpha Gulianiego, skarżącego muzeum o złamanie umowy z miastem na temat służebnej roli muzeum w edukacji dzieci i młodzieży. Na wystawie zgromadzono m.in. truchło świni w formalinie, odlew głowy z zamrożoną krwią własną artysty, wizerunek Matki Boskiej oklejony słonim łańcem i obrazkami pornograficznymi czy też manekin dziecka obwieszony ogromnymi penisami. Wystawę potępił kardynał Nowego Jorku, John O'Connor. Niespodziewanie poparła ją żona prezydenta USA Hilary Clinton. Oto Ameryka, popłatanie z pomieszaniem, pseudo sztuka szukająca taniej sensacji popierana z wyżyn administracji. Chyba z głupoty i nieumiejętności oddzielenia prawdziwych idei od hucpy i degeneracji.

Chciałoby się napisać więcej na temat każdej ze świętych.

Zwłaszcza postać Edyty Stein jest ważna dla naszego stulecia, może wątek ten uda mi się rozwinąć później. Łącząc w sobie predyspozycje intelektualisty i mistyka Edyta Stein czyli s. Benedykta od Krzyża stwierdza "wyniki badań – poznana prawda – wskazują na najwyższą i najczystsza rzeczywistość – Boga". W innym miejscu pracy pt. "Wiedza Krzyża" /"Kreuzwissenschaft"/ można przeczytać "Doświadczenie wewnętrzne Boga mieszkającego w ludzkiej duszy daje duchową siłę...Tylko ten, kto żyje w swym wnętrzu i posiada ...moc, może sądzić i rozróżniać prawdziwie...". Ta wątpliwa w świat ducha uczennica Husserla, dociera do poznania, rozumianego jako jedność aktu poznania, miłości i czynu /erfassen/. "Dotknięta ręką Boga" stwierdza, że przed tym dotknięciem nie można umknąć. Mimo, że dotknięcie łaską nie jest równoznaczne z jej przyjęciem, Edyta wyznaje "Uchwycę się tej ręki, która mnie dotyka a znajdę absolutne oparcie i absolutne zabezpieczenie". Aby to wszystko pełniej i głębiej zrozumieć wypada szerzej poczytać o historii jej życia ale już samo jej przesłanie, że "Gdy się patrzy od strony Boga nie dostrzega się przypadków" jest niesłychanie ważne. W tym kontekście zrozumiałe się staje iż Bóg nie chce nas zbawić bez naszego udziału. Uzależnia przyjęcie łaski od dobrowolnej zgody i współdziałania. Świadomość konieczności "uchwycenia się ręki Boga" ma niebywałe znaczenie.

Wystąpienie obu wydarzeń, ogłoszenie patronami Europy świętych: Brygidy, Katarzyny i s. Teresy Benedykty od Krzyża, Edyty Stein i skandal z Brooklyn Museum of Arts z nowego Jorku, uzmysławia olbrzymią różnicę w postępowaniu różnych ludzi. Jedni szukają najtańszej reklamy i popularności poprzez szokowanie nieprzyzwoitością i poprzez profanację, inni dążą do świętości i umocnienia się dzięki wierze. Obie te drogi rozchodzą się jak rozstaje a człowiek współczesnego świata pomimo oczywistych drogowskazów, błądzi jak ślepiec. Dziennik ów pisze bez zamiaru konfrontowania tak przeciwstawnych sobie zjawisk jak wyżej wymienione ale ich współwystąpienie jest znamienne dla naszego czasu.

W szkole organizowałem apel z okazji 60 rocznicy wybuchu II wojny światowej. Scenariusz napisałem w oparciu o wiersze Tadeusza Śliwiaka. Przy recytacji skorzystałem z gotowości dziewcząt z klasy czwartej „A”. W kolejności były to teksty: „Wiersz noworoczny”, „Nazywanie światła”, „Antyгона

wołyńska”, fragmenty z utworu pt. „Wanna”, „Powracające niebo”, „Dzwony w Hamburgu” i na zakończenie „Ostrość miecza”. Spodobały mi się zwłaszcza słowa z tych wierszy, które przytoczę: „Moja przyszłość nosi piękne imię / Moja przyszłość nosi imię nadzieja...”, „...doznałem największej radości / jaka jest możliwa / w moim kraju i czasie / przeżyłem ostatni dzień wojny...”, „...W powietrzu ślad najtrwalszy / bo raz odcisnięty / trwa i wraca ilekroć / pamięć go przywoła...”, „...Słuchałem dzwonów w Hamburgu / w Dzień Zmarłych / Requiem dla ofiar wojny...”, „...Słuchałem dzwonów / Oni stali przy mnie / patrzyli ze mną w zachmurzone niebo / więc pokazałem im ten ciemny obłok / ten dym co krąży niebem Europy / i po niemiecku nazywa się Auschwitz...”, „...Brąz i kamień/ - z tego pomniki stają dla historii / krwi zmieszanej z piaskiem / Patrz na posąg greckiego młodzieńca / czekam aż usunie ze swej stopy cierni / i pobiegnie dalej.”. Zwłaszcza obecnie zakończenie ostatniego wiersza Śliwiaka wydaje mi się niezwykle aktualne choć jest ponadczasowe poprzez odwołanie się do starożytnej Grecji. O to właśnie chodzi aby przewyciężyć zawziętość i bolesne rany i „pobiec dalej”.

Minął też dzień święta Edukacji Narodowej i akademia przygotowana przez klasę trzecią. Pani dyrektor wręczyła nagrody okolicznościowe. Znalazłem się w gronie docenionych. Poczułem uczucie satysfakcji z dostrzeżenia i nagrodzenia mego wysiłku dydaktycznego i wychowawczego (piąty rok wychowawstwa).

Byliśmy na imieninach u cioci Reny i nawet na drugi dzień na poprawinach tychże (ewenement na przestrzeni 14 lat!). Na imieninach u Marioli Zagórskiej, w następnym tygodniu. Te regularne spotkania, głównie w kręgu rodzinnym, mają dla mnie spore znaczenie bo przede wszystkim tworzą w skali roku swoisty rytm jak następujące po sobie kalendarzowe pory. Teraz zbliża się dzień Wszystkich Świętych. Pogoda już chłodna, pełno opadłych liści, dni bardzo krótkie. Od czasu do czasu, w trakcie odwiedzin u rodziców, wychodzę na spacer z Korą. Są to chwile refleksji i kontemplacji przyrody. Tato chory na cukrzycę musiał przejść na zastrzyki insulinowe. Straszna jest ta choroba, wymagająca bardzo już pełnego ograniczeń trybu życia, posiłków w dokładnych odstępach czasu, tak samo zastrzyków, tak samo badania poziomu cukru we krwi pobieranej z palca. Tato ma skłute ręce i brzuch a tu przed nim całe takie dalsze życie. Rodzice przymierzają się do

zmiany mieszkania. Byli w biurze pośrednictwa sprzedaży nieruchomości i już mają nawet propozycję lokalu całkiem blisko nas, na pierwszym piętrze. Z ich kamienicy wyprowadził się Paweł z rodziną. Paweł to syn znanej tarnowskiej nauczycielki, z doktoratem z historii. Autorki pracy o regionie tarnowskim w okresie okupacji hitlerowskiej. Jej mąż, ojciec Pawła, zmarł nagle po 1989 roku. Był w pracy, kiedy nastąpił wylew i nie udało się go uratować. Panią Julę bardzo denerwował administrator kamienicy. Nachodził ją przy okazji pobierania czynszu a zdaje się i w innych sytuacjach. Dochodziło do scysji słownych aż pewnego dnia pękło jakieś naczynie krwionośne i pani Julia zmarła. Była rówieśniczką mojej mamy i jej koleżanką z klasy licealnej. Pani Julia i pan Leszek pobierali się w tym samym czasie co nasi rodzice i nawet spotkali się w tym samym dniu u fotografa, kiedy poszli tam zrobić sobie ślubne zdjęcia. Wraz z opuszczeniem przez „Pawłów” kwatery na parterze, dom pustoszeje. Ich vis a vis sąsiedzi, pani Marysia, pan Tymon nie żyją. Pan Tymon zmarł nagle przed laty na zawał serca, karetka przyjechała za późno. Wywrócił się w kuchni i pomimo fachowej akcji ratunkowej żony (masaż serca i sztuczne oddychanie), która całe lata pracowała jako pielęgniarka, nie udało się jej przywrócić mu przytomności. Ona zmarła na raka 6 lat temu. Ostatnie jej dni, kiedy umierała w bólach, łagodzonych morfina, pan administrator wybrał na malowanie krat tuż pod jej oknem. Najpierw więc tłukł się niemiłosiernie odbijając stary lakier i budząc umierającą w chwilach, kiedy udawało się jej zasnąć po bezsennej nocy, potem smrodził farbą i rozpuszczalnikiem i nie odłożył swych zajęć pomimo próśb o spokój. Ich syna Tomka wyrzucił z mieszkania po około pół roku po śmierci matki mając wprawdzie rację prawną za sobą bo młodzieniec zalegał z czynszem i zaniedbał lokal ale...suma dokonań pana administratora łączy się w niezbyt ładne pasmo „osiągnąć”. Trzeba dodać i przed Tomkiem awanturami i nękaniami wyrzucił z pierwszego piętra Jurka i Jagnę, naszych bardzo dobrych znajomych, obecnych wielokrotnie na kartach tego dziennika.

Od Tadeusza dowiedziałem się o 1-ej rocznicy przeszczepu serca Mariana, naszego przyjaciela. Pamiętam jak dziś, kiedy w dniu operacji zatelefonowała do mnie żona Mariana, Zuzia z prośbą o modlitwę w jego intencji. Poszedłem do pracy o godzinę wcześniej aby po drodze wstąpić do kościoła bernardynów. Akurat

trafiłem na mszę świętą i apel o składanie kartek z prośbami i podziękowaniami przed cudownym obrazem, po lewej stronie ołtarza głównego. Siadłem w wolnej ławce, przed samym ołtarzem bocznym. Napisałem kartkę ze słowami: „z prośbą o życie i zdrowie dla Mariana, w dniu przeszczepu serca”. Gorąco modliłem się w jego intencji i przyjąłem komunię świętą. Udało się Bogu dzięki!

Tarnowscy bernardyni cieszą się dobrą sławą. I jako mnisi i jako ogrodnicy. Zostali sprowadzeni do naszego miasta w XV wieku. Jednym z ich pierwszych gwardianów był bł. Szymon z Lipnicy. Zespół klasztornych zabudowań otoczony jest masywnym murem. Do jego budowy użyto gotyckich i renesansowych cegieł, które widać w licu muru otaczającego ogrody i klasztorny sad od strony ulicy Franciszkańskiej i od Wątku (rzeczki przepływającej przez Tarnów). Bardzo ciekawa jest też barokowa z ducha brama wjazdowa do klasztoru, od ulicy Bernardyńskiej, niegdyś Kniewskiego, (komunisty). Do tego kościoła chodzili dziadkowie, rodzice mojej mamy i ona sama, jeszcze jako mała dziewczynka, zaraz po wojnie.

Tadeusz też powiedział mi o tym, że do szpitala trafił Jurek, podobno ma problemy związane z pracą serca... Pomiędzy nim a Jagną wynikły ponoć jakieś nieporozumienia. To co piszę może wyglądać na plotki ale naprawdę przejmuję się ich kłopotami a źródło informacji tj. kolega Tadeusza i Jurka, Edmund -wydaje się wiarygodne. Najprościej byłoby iść do szpitala do Jurka. Proponowałem to Oli już parę razy ona jednak jest skupiona na sobie i nie czuje się widać zbyt dobrze aby sprostać tym odwiedzinom.

Podczas ostatniej przepustki w Tarnowie, Waldek pojechał z mamą do szpitala bo w Krakowie zasłabł. Lekarz stwierdził arytmie serca i wystawił mu zwolnienie. W sztabie wojskowym uzyskał przedłużenie o 3 dni przepustki a po powrocie do jednostki został skierowany do szpitala wojskowego na badania. Jest tam już prawie tydzień. Telefonował wczoraj. Mama do niego telefonowała dzisiaj. Odwiedziła go Ewa. Do Krakowa pojechał Maciek, sam, chociaż mama planuje odwiedzić Waldka.

W tych dniach kolej przeżywa zwykle obłożenie bo ludzie ruszają na cmentarze. W poniedziałek jest Dzień Wszystkich Świętych. Waldek podziękował się i ma 37 stopni gorączki. Rano przed pracą odwiedziłem rodziców bo vis a vis kupowałem bloczki na obiady

w listopadzie, w stołowie, gdzie jadamy od lat. Poprzedniego dnia o 24-tej tacie spadł poziom cukru do 50 jednostek. Dobrze, że jeszcze nie spał bo mógłby się nie obudzić. Zjadł 3 kromki chleba z miodem i cukier wrócił do normy. Właśnie wczoraj tato i mama byli na prelekcji dr Galickiej nt. skoków poziomu cukru. Jest to bardzo niebezpieczne. Tato kontrolował poziom cukru jeszcze raz o 3-iej w nocy ale wynik też był dobry.

W Tarnowie był pan Marian Zeman. Tradycyjnie odwiedza grób matki w rocznicę jej śmierci. Zaprosił nas na mszę świętą do kościoła oo. bernardynów. To mamy ulubiony tarnowski kościół. Jak już pisałem chodziła do niego w dzieciństwie, kiedy dziadkowie mieszkali z nią przy placu Sprawiedliwości. Po mszy na której byłem razem z mamą i tatą odprowadziliśmy, ja i mama (bo tato musiał pójść do domu na zastrzyk) pana Mariana do autobusu. Zaraz wracał bo miał umówione spotkanie kresowiaków na które regularnie uczęszcza. Podarowałem mu swój zbiór wierszy. W rewanżu otrzymałem piękny album o Teksasie (po angielsku). Przyszedł już list z Łodzi analizujący przeczytane przez pana Mariana wiersze, z pozytywną oceną.

Pisze też o filmie „Pan Tadeusz”, który montowała jego córka Wanda. Muszę szybko odpisać bo ostatnio zalegałem z korespondencją.

O Marianie i Zuzi miałem napisać już wcześniej ale jakoś zeszło a i sam temat trudny do opisanie bo to bliscy przyjaciele a doświadczeni przez los najbardziej z wszystkich jakich znam. Fatum zaciążyło nad ich rodziną i od lat nic się nie zmienia. Nie wierzę w przesady ani klątwy a jednak wobec zestawienia ogromu nieszczęść, z których każde kończy się śmiercią, trudno zrozumieć i nazwać tylko pechem czy zwykłą koleją rzeczy wszystkie te wydarzenia. Zaczęło się od choroby ojca Mariana. Postępująca choroba Burgera była przyczyną konieczności odjęcia nogi. Amputacja nie zatrzymała jednak postępów Burgera. Pan Rudek zmarł. Pamiętam go doskonale, postawny z dużą czarną, potem siwą brodą. Był lekarzem. Jego żona, mama Mariana, była dentystką. Chodziliśmy z bratem do niej, do spółdzielni, leczyć zęby. Bardzo wesola, zawsze chętna do rozmowy i umiejąca nawiązać kontakt z dziećmi, którymi byliśmy. Dzięki niej przestałem się bać wizyt w gabinecie stomatologicznym. Traktowała nas jak swoje dzieci, co z resztą znalazło wyraz w powszechnej opinii. Bo kto nas nie znał bliżej uważał Mariana za

naszego brata. Chodziliśmy tak samo ubrani. W związku z modą hippisowską Tadeusz wyhaftował na bluzach dżinsowych duży czerwony kwiat o trzech płatkach po obu stronach zapięcia i takie same kwiaty na dole obu nogawek dżinsowych spodni. Musiało się to rzucać w oczy. Na przestrzeni 40 lat nie widziałem podobnego stroju u nikogo z młodych. Nawet z biblioteki Pałacu Młodzieży przyszło upomnienie na nasz adres dla Mariana Mirowskiego za opóźnienie zwrotu książki. Byliśmy jak bracia. Tadeusz i Marian starsi, mieli swoje grono kolegów, przezwane paczką samurajów. Ja młodszy o 2 lata aspirowałem do miana samuraja. Pewnego razu na wakacjach nad jeziorem Rożnowskim (Marian do dziś tam bywa i ma nawet swój domek letniskowy) Marian, który był tam wcześniej powiedział do mnie „jesteś samurajem”. Było to dla mnie nie lada wyróżnienie. Słowem byliśmy dla siebie ważni i stąd po dziś dzień jest nam szczególnie bliski. Na Tadeusza weselu Marian bardzo przeżywał fakt, iż ubywa kolega z paczki samurajów, bo miał świadomość, że odtąd żona będzie dla Tadeusza bardziej absorbująca niż koledzy. Wypił trochę za dużo i ośmielił się powiedzieć do naszej mamy „fajna babka jesteś”. Długo z tego się śmiałyśmy bo wcześniej Marian był uważający i traktował mamę z atencją i szacunkiem wynikającym pewnie po trosze z tego iż doceniał w mamie filologa literatury polskiej, z którą (filologią) miewał kłopoty. Mama mu nieco pomagała. Pamiętam, kiedy mama wróciła z zebrania klasowego dla rodziców. Spotkała się tam z mamą Mariana i opowiadała o jej rozżaleniu dlaczego Marian ma problemy z językiem polskim. „Po co wychodziłam za męża za Litwina”, użalała się pani Halina. Dziadkowie Mariana przed wojną mieszkali w Wilnie i w tym sensie byli „Litwinami” polskiej krwi. Pan Rudek i Marian zaciągali z litewską „przecionając” niektóre wyrazy i stąd brały się błędy. Za karę, kiedy Marian coś zbroił, ojciec kazał mu przepisywać trylogię Sienkiewicza i zdaje się że Marian przepisał ją całą. Czasami pomagał mu w tym Tadeusz.

U rodziców Mariana wisiała zawsze piękna ikona Matki Boskiej Ostrobramskiej. Teraz jest ona u Zuzi i Mariana. Pani Halina zmarła w rok po mężu, na raka. Dosłownie „zmiotło” ją tak szybko, że byliśmy tym porażeni. W krótkim czasie okazało się, że na raka choruje młodsza siostra Mariana, Basia. Była już mężatką i mamą 6-cio letniego synka, kiedy stan jej zdrowia pogorszył się i w krótkim czasie nastąpił trzeci pogrzeb. Mówi się, że nieszczęścia

chodzą parami. W tym przypadku było to już trzecie zdarzenie. Niestety nie na tym koniec. Syn Mariana i Zuzi 11-letni Romek, wypadł z 11 piętra i zginął na miejscu. Toczyło się dochodzenie, które jednak niczego nie wyjaśniło. Dlaczego w czasie w którym powinien być w szkole znalazł się w sąsiedniej klatce bloku w którym mieszkał? Nauczycielka, wychowawczyni klasy Romka przesłuchiwana przyznała, że bolała go głowa i prosił o zwolnienie do domu. Nie zwolniła go nie mając pisemnej prośby rodziców. Romek nie poszedł do swojej cioci Ani, siostry Mariana, która też uczyła w tej samej szkole. A mimo to szkołę opuścił co stanowiło wyłom w zasadach jego postępowania bo był dzieckiem grzecznym i posłusznym. Jego tornister znaleziono pod klatką schodową z której 11 piętra wypadł lub został wypchnięty, wyrzucony? Jego wzrost i odległość od wysokiego parapetu wykluczają przypadkowe wychylenie i utratę równowagi. Wiele złego uczynił redaktor tarnowskiego tygodnika pan Z., który nie znając sytuacji rodzinnej dziecka, sprawę opisał nadając tytuł „Samobójczy skok”.

Śledztwo też poszło w tym kierunku. Rozmawiałem na prośbę Mariana z moim kolegą, nadzorującym to postępowanie, prokuratorem rejonowym Arturem. Chodziliśmy razem do liceum i razem studiowaliśmy prawo na UJ. Mam przed sobą wycinek z „Tarnowskiego Echa” z kwietnia 1993 roku zatytułowany „Śmierć jedenastolatka”. Czytam „5 kwietnia przed godziną piętnastą wyskoczył z okna z ostatniego piętra bloku uczeń szkoły podstawowej... ustalenia śledztwa wskazują, iż był to samobójczy skok chłopca.... Według tego co ustaliła prokuratura, chłopiec wybił szybę a następnie wyskoczył z okna na półpiętrze.

Było to na wysokości między X a XI piętrem... Chłopiec był dobrym uczniem, nie miał także kłopotów rodzinnych. Prokuraturze i policji znane są krążące po Tarnowie plotki na temat tego zdarzenia... Żadna z tych plotek nie znajduje potwierdzenia w dotychczasowych ustaleniach...”. Mam przed sobą kartkę z kalendarza z 25 grudnia 1982 roku z moją adnotacją czerwonym flamastrem „chrcziny Romka”, mam też wycinek z „Gazety Krakowskiej” z 7 kwietnia pt. „Dziecięcy krzyk rozpacz”. Nie podpisany autor notatki ucieka się aż do przykładów z Japonii „Zdaniem... psychologa z Poradni Zdrowia Psychicznego dla Dzieci i Młodzieży w Tarnowie samobójstwa popełniane przez dzieci nie są wcale takie rzadkie, jak się powszechnie uważa.

Świadczy o tym przykład Japonii, gdzie odnotowuje się bardzo dużo samobójstw dzieci, które nie mogą nadażyć z nauką za programem szkolnym. W okresie rozwoju i kształtowania się osobowości, dzieci są bardzo pobudliwe, a ich uczucia są bardzo mocne. Dziecko nie znajdujące zrozumienia i pomocy u osób mu bliskich czuje się bardzo zrozpaczone. Samobójstwo dziecka to właśnie taki krzyk rozpacz.”.

Wszystko to napisano po wcześniejszej w tym samym tekście opinii dyrektorki szkoły do której chodził Romek, że „był bardzo dobrym uczniem, łatwo nawiązującym kontakty, pochodzącym z rodziny bez zarzutów.”. Jak ma się jedna wypowiedź do drugiej? Obie się wzajemnie wykluczają. Czy zestawili je jakiś idiota? Przecież jeśli dyrektor szkoły mówi „był bardzo dobrym uczniem” nie można pisać o dzieciach które „nie mogą nadażyć z nauką za programem”. Jakies uogólnienia w tej sytuacji zupełnie tu nie pasują, wyrządzają krzywdę. Jeśli pisze się „pochodził z rodziny bez zarzutów” nie można pisać „dziecko nie znajdujące zrozumienia i pomocy u osób mu bliskich”. Notatka absurdalna jakich wiele w prasie codziennej ale nie codziennie zdarza się aby tego typu produkt bezmózgowia ranił i tak już mocno doświadczonych i zszokowanych rodziców naprawdę nie winnych żadnych zaniedbań. Marian w chwili tragedii był już po dwóch zawałach serca, na rencie. Cały czas przebywał w domu i każdą chwilę poświęcał dzieciom, w tym Romkowi, któremu pomagał wykonać pracę na zajęcia z techniki, drewnianego ptaszka do wielkanocnego koszyka. Relacje prasowe różnią się między sobą „Gazeta Krakowska” pisze o trzech bezpośrednich świadkach, „Dziennik Polski” o dwóch osobach, mieszkańcu X piętra, który wybiegł z mieszkania myśląc, iż hałas jest efektem zabawy dzieci na klatce schodowej. „Gdy dobiegł do okna zobaczył nogi wyskakującego dziecka” i o przechodniu, który obserwował całe zdarzenie z chodnika przed budynkiem. Słyszac brzęk tłuczonego szkła spojrzał w górę i „zobaczył, że ktoś wyskakuje z okna klatki schodowej”. Chłopiec spadając nie krzyczał.

Nie znam świadków zdarzenia ale ich opowieści są dla mnie wysoce niespójne. Czy były takimi dla prokuratury? Świadek mieszkający na X piętrze słyszał hałas i przypuszczał iż jest on wynikiem zabawy dziecięcej. Hałas wywołany przez jedno dziecko w moim przekonaniu różni się w istotny sposób od np. tupotu,

stuku, otwierania okna połączonego z wyrwaniem gwoździ bo okno na XI piętrze było zabite gwoździami. Dlaczego było zabite gwoździami? Czy wcześniej w tym samym miejscu już się coś wydarzyło? Tak mi się zdaje?

Ustalenia dochodzenia mówią o kłopotach z otwarciem okna i konkludują „ostatecznie wybił szybę i przez otwór rzucił się w dół”. Przypuszczam, że zasadniczo różni się sytuacja kiedy dziecko powoli wysuwa się poza okno, tak zeznawał świadek z dołu, od sytuacji kiedy dziecko się rzuca. Samo wybicie szyby i uzyskanie otworu przez który można się rzucić nie jest łatwe i nie zawsze możliwe do uzyskania po na przykład jednorazowym uderzeniu w szybę. Hałas wybijanego okna jest inny w przypadku jednego uderzenia a inny przy szarpaniu ramy okiennej i wyrzucaniu odłamków, czego w ogóle nie musi się słyszeć. Nie mogę formułować żadnych oskarżeń ani nawet nie taka jest moja intencja tak dokładnego opisu tej historii. Przypuszczam tylko, że nie zadano sobie odpowiednio dużo trudu aby wszystko co możliwe sprecyzować. Po co Romek wszedł nie do swojej klatki? Mieszkał na IV piętrze trzy klatki obok. Nie wiadomo czym została wybita szybka. Dlaczego Romek spadał cicho? Pytań jest wiele, można je mnożyć ale pozostaje faktem nieodpowiedzialność prasy, policji, prokuratury.

Marian miał trzeci zawał serca i ostatecznie przeszczep. Teraz stale na lekach przeciwko odrzutowi przeszczepu ma problemy nowotworowe.

Poszliśmy z Olą do szpitala, do Jurka. Okazało się na miejscu, że wyszedł na przepustkę. Zastaliśmy go dopiero wieczorem u niego. Wcześniej był u dentysty i rwał korzenie, bolały go zęby. Dolegliwości sercowe są poważne, to jakiś tętniak. Ma wrócić do szpitala we wtorek. Długo rozmawialiśmy z Jurkiem o jego aktualnej trudnej sytuacji rodzinnej. Jagna wczoraj pojechała do rodziców, do Kielc. Wcześniej jednak nie odwiedziła męża w szpitalu, gdzie był od paru dni. Mam nadzieję, że może jeszcze się coś wyjaśni.

Zostałem poproszony przez pana Stanisława, prezesa Klubu Inteligencji Katolickiej o poprowadzenie jego wieczoru autorskiego w sali Klubu. Tomik poezji pt. „Słowem zmartwychwstajesz” powstał jako efekt mego wyboru wierszy pana Stanisława z roczników miesięcznika KIK-u pt. „Odpowiedź”. Zaproponowałem tytuł całości co zostało przyjęte.

Pochodzi on z puenty wiersza otwierającego zbiór. Przytoczę go w całości, jest krótki a bardzo istotny i charakterystyczny dla jego twórczości, poruszającej się w obrębie spraw wiary, analizy słów Pisma Świętego. Jest to przeżywanie peregrynacji do sanktuariów europejskich i położonych w Palestynie jak np. Betlejem czy Jerozolima. Sala klubowa była wypełniona po brzegi, rzadko to się zdarza na wieczorach poetyckich. Przyszła nawet młodzież, zachęcona przeze mnie w bibliotece i w szkole. Była Ola i pani Eliza, koleżanka mojej mamy, która niedawno wróciła z Chicago. W bardzo krótkim czasie po powrocie pochowała męża, zmarłego na raka.

Teraz zapowiadany wiersz bo coraz to nowe dygresje znoszą mnie jak fale łódź po niespokojnym oceanie.
„Słowem zmartwychwstajesz”

Poetą jesteś
Gdy Kalwarii dotykasz
Gdy bólem
Cierpieniem
Krzyżem przeniknięty
Słowem zmartwychwstajesz.

Wiersze podobały się zgromadzonej publiczności. Pan Stanisław przygotował obszerny wstęp, rodzaj credo i usprawiedliwienia dlaczego para się poezją. Mnie pozostała rola „dyrygenta”. Sądzę iż wywiązałem się z niej należycie. Na zakończenie obdarowani egzemplarzami książki ustawiliśmy się po dedykacje. Dosłownie to ustawiono się za mną bo byłem pierwszy. Oprócz zbioru dla nas dostałem tomik dla Marzenki z wpisem „Siostrze Marzenie z najlepszym Słowem na służbę Bogu, pamiętający w modlitwie...”. Podpis.

WARTO WIEDZIEĆ

Fundacja NIKE ogłosiła siedmiu finalistów NIKE 2005, którymi zostali:

- **Anna Bikont "My z Jedwabnego"**, Prószyński - S-ka;
"Ze świata zawartego w książce trudno wychodzić, choć obcuje się w nim z przerażającymi faktami i trzeba znosić gorycz i gniew, i smutek"
-pisała Halina Bortnowska.
- **Ryszard Kapuściński "Podróże z Herodotem"**, Znak;
Najnowsza książka wybitnego pisarza i reportera opowiada o świecie przez pryzmat dzieła innego wielkiego, starożytnego reportera i podróżnika, Herodota.
- **Hanna Krall "Wyjątkowo długa linia"**, a5;
Opowieść o losach mieszkańców pewnej kamienicy na Lubelskim rynku, z których wielu zginęło w Sobiborze i Majdanku.
- **Ewa Kuryluk "Goldi"**, Twój Styl;
To chyba najbardziej osobista z książek Ewy Kuryluk, historyka sztuki, malarki, eseistki. Rzecz o Goldim, chomiku, najbliższym przyjacielu z dzieciństwa.
- **Tadeusz Różewicz "Wyjście"**, Wydawnictwo Dolnośląskie;
"I znowu Różewicz wydał tom, który brzmi jego rozpoznawalną nutą i jednocześnie zawiera wielki ładunek nowości" – pisała o WYJŚCIU Małgorzata Baranowska.
- **Andrzej Stasiuk "Jadąc do Babadag"**, Czarne;
Pochwała prowincji, świata gorszego, niepotrzebnego i zapomnianego i pochwała wolności, którą mają wykluczeni
- **Dariusz Suska "Cała w piachu"**, Czarne.
"Bardzo jest do twarzy poezji Suski ze śmiercią. I jest to poezja do szczerzego płaczu" – pisał o CAŁEJ W PIACHU Jarosław Klejnocki.



Laureatem tegorocznej

NAGRODY NIKE 2005

został **Andrzej Stasiuk** za książkę „**JADĄC DO BABADAG**” wydaną przez Wydawnictwo Czarne.

Ceremonia wręczenia nagrody odbyła się w Teatrze Stanisławowskim w

warszawskich Łazienkach.

W plebiscycie "Gazety Wyborczej" na najlepszą książkę zwyciężyły **PODRÓŻE Z HERODOTEM** Ryszarda Kapuścińskiego.

"Nazywam 'Jadąc do Babadag' powieścią, chociaż można by było widzieć w niej zbiór niemal autonomicznych opowieści z podróży do Słowacji, Rumunii i innych krajów tzw. gorszej Europy.

Totalna podróżność powieści Andrzeja Stasiuka wcale nie dziwi, ona mieści się w klasycznych prawzorach literatury podróżniczej, radykalnie je modernizując, stając się w części finałowej jeszcze czymś innym, co należałoby nazwać metaforyczną powieścią drogi" (z uzasadnienia przyznania NIKE ogłoszonego przez Henryka Berezę).

W jury nagrody NIKE zasiadali: Henryk Bereza - przewodniczący jury, Lidia Burska, Izabella Cywińska, Andrzej Franaszek, Andrzej Makowiecki, ks. Wacław Oszajca, Tadeusz Sobolewski, Piotr Wierzbicki i Marek Zaleski.

/ wybór i druk. z internetu/



OTAGNIESZKA MUSZYŃSKA

SPIS TREŚCI

Wstęp: Red. Kajetan-Cierni s. 3-4

POEZJA

Zbigniew Mirosławski, s. 5-11

*** „Ja, układający rytmy i słowa...”

*** „Od dwóch dni...”

*** „Muzyka wenecki mostów...”

*** „Z mgły wyłania się...”

Dariusz Romanowski, s. 13 – 14

„Prowadź albo pozwól błędzić”

„Nie do końca pesymistyczny...” „Miasto rodzime”

Jacek Tryba, s. 15 – 17

„Trzeci kwietnia” „Spóźniony” „Słabej wiary”

Anna Mróz, s. 17 – 19

*** „Bursztyn słońca...”

*** „Jeśli kiedyś poczujesz...”

*** „W morskim poszyciu...”

*** „W ciszy serca...”

*** „Kiedy zapada zmrok...”

*** „Zamykam oczy...”

Rafał Giemza, s. 20

*** „Płynąć w oceanie życia...”

*** „Me myśli płyną...”

*** „Zbyt gorliwe słońce...”

Mariusz Mitera, s. 21

*** „W brązowe włosy...”

*** „Proszę, nie odchodź...”

*** „Płynna purpura ożywia...”

*** „Lśnienie...”

Andrzej Mleczek, s. 22 „Westchnienie 2”

Michał Piętniewicz, s. 22-23

„Rywalizacja” „Powrót do swoich”

„Jesień zaczyna się w Krakowie” „Asceza”

JRM Lorius, s. 24 – 25
„Zesłańcom” „Ulga” „Świt”
„Meandry doznań”

Robert Stańczyk, s. 26
„Odwiedziny”
„Modlitwy wieczorne”

Bartosz Baran, s.27-28
„Nadzieja” „Nadzieja 2”
„Dotykam nieba”

Joanna Bąk, s. 28
„Poeci”

Beata Belter, s.s. 29
„Rodzicom – w rocznicę ślubu”

Grzegorz Nowak, s. 29
*** „Smutna twarz mima...”
*** „Bóg wyrafinowanej myśli...”

PROZA

Miłosz Onak /Egil Bjornsson/, „Los przestawny – zapiski” s. 32
Elżbieta Balazy, „Z drugiej strony...” s. 46
Zbigniew Mirosławski, „Dzień za dniem” s. 48

WARTO WIEDZIEĆ - Nagroda NIKE 2005

RYSUNEK I GRAFIKI

Julia Szymańska, - str. 31
Agnieszka Muszyńska - s.12, s. 74